

19 REJONOWA WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Dla Dorosłych
Łódź, ul. *Wojciecha* 91

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III, ŁÓDŹ, 26 czerwca 1960 r.
Nr 25 (121) Cena 1 zł

„POZNAĆ” a la minute
str. 3



Odmiana czarno-biała, czerwony, srebrzysty jak t. r. peda, Drobiazg — 2 tys. dolarów. Wiele tylko — i — czka na kierownicy miły uśmiech i — pstryk dziekuje. Na zdjęciu będzie „mój”. FIAT 1500. Oficjalnych ofert nie zanotowano.



Ewa Krzyżewska gra w filmie jugosłowiańskim
(p. korespondencja str. 12)



TYLKO dla dorosłych

Nasza szkoła

Drogie mamusie! szanowni tatusiowie! Jeśli nagle zauważycie że Waszą córkę (syna) coś korci i gna, że wbrew płaczom, groźbom i namowom wyrusza ona (on) z domu w tramkach, z plecakiem! książeczka auto-stop w kieszeni, to niekoniecznie jest to gorsze od powietrza, głodu, ognia i wojny!

Dostojni ludzie dorośli! Jeśli przez Wasze miasteczko (ulice, wieś) przebiega banda młodych ludzi, ubranych w stroje niedbale krzykliwe i zakurzone, i jeśli będą oni krzyzczeć a nawet śpiewać, to niekoniecznie jest to współczesna odmiana szarańczy, poton szwedzkiego końca świata i w ogóle kary niebios.

Dalszy ciąg
na str.
2

Wypoczynek pod łódzkim niebem

Jak wygląda wypoczynek ludzi pracy w zadymionej Łodzi? Dokąd udają się robotnicy w dni świąteczne? Jak spędzają weekendy? Jak ustosunkowują się do tych spraw zakłady pracy i Związek Zawodowy?

Dziś na wycieczki krajoznawcze nie jeżdżą się już ciężarówkami, zaniżają również orblisowskieociąg popularne. Niewątpliwie zaważyła w tym wypadku cena biletów kolejowych, ale nie tylko cena. Ciężarowe wozy i wagony kolejowe zdystansował autokar jako szybszy i wygodniejszy środek lokomocji. Posiadanie autokarów stało się ambicją wszystkich większych zakładów przemysłowych. Moda ta przyszła do Łodzi z bogatego Śląska. Szkoda tylko, że zakłady posiadające własne autokary nie potrafią ich umiejętnie wykorzystać. Wpływa na to brak własnej zakładowej

coraz poważniejsza rola w życiu współczesnego społeczeństwa. Aktywny wypoczynek po pracy nie tylko zaspokaja zamiłowania sportowe, czy turystyczne młodzieży i starszych, nie tylko dostarcza pożytecznej rozrywki, lecz służy również podniesieniu zdrowotności społeczeństwa, kształtowaniu charakterów i postawy społecznej.

Dotychczas z trzech czołowych kultury fizycznej, tj. wychowania fizycznego, turystyki i wypoczynku największą uwagę przywiązywano do wychowania fizycznego w sensie sportu wyczynowego i imprez masowych. W tym kierunku szły inwestycje, szkolenie kadr i odpowiednia propaganda. Dysproporcja między wychowaniem fizycznym a turystyką i aktywnym wypoczynkiem zaważyła automatycznie na krzewieniu kultury fizycznej w skali masowej



wej kadry społecznych organizatorów turystyki i wypoczynku. Ten ostatni zarzut z pewnymi wyjątkami można postawić niemal wszystkim zakładom i instytucjom na terenie Łodzi.

Kiedy na przykład Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych przy czynnej pomocy Zarządu Oddziału PTTK utworzyła pierwszy kurs dla organizatorów turystyki i wypoczynku liczonego na 60 osób. Zgłosiło się 55 osób z czego tylko 31 uczestników wytrwało do końca. Zawiniły w tym wypadku rady zakładowe, które nie dobrały poważnych kandydatów. Świadczy to o niepełnym zrozumieniu istoty sprawy przez podstawowe komórki związkowe jak i przez związki branżowe. I tak na przykład Zarząd Okręgowy Handlu i Zarząd Okręgowy Chemików na 10 miejsc zarezerwowanych zgłosiły tylko 2 osoby, które w ogóle zignorowały kurs i nie pojawiły się na żadnym wykładzie. Poza tym 10 miejsc zarezerwowano dla aktywów KŁ ZMS, z czego stawili się 3 osoby, ale ukończyła tylko jedna.

Tymczasem wbrew popołudniemu mniemaniu kwestia umiejętności organizacji wypoczynku jest rzeczą niezmiernie ważną. Kultura fizyczna i turystyka spełnia-

tylko do roczników młodszych ograniczając szanse pokolenia starszego.

Obejmuje notujemy ciągle wzrost ruchu turystycznego i związane z tym wypoczynku świątecznego. Coraz więcej ludzi w czasie wolnym od pracy i nauki podąża na przedmieścia, za miasto do bliższych i dalszych miejscowości by poprzez kontakt z przyrodą, na świeżym powietrzu wypocząć i nabrać nowych sił do pracy.

W 1959 roku na jedno dniowe wycieczki wyjechało z Łodzi 150 tys. osób, w tym roku przewiduje się wzrost do 300 tysięcy osób. W 1959 roku z wycieczek 2-3 dniowych skorzystało 70 tys. osób, w tym sezonie przewiduje się ponad 100 tys. W każdą pogodną niedzielę wyjeżdża do Łagiewnik, Rudy Pabianickiej i na Zdrobie około 100 tys. ludzi. Drugie tyle wyjeżdża na teren województwa.

Mieszczą się w tych przybliżonych liczbach wycieczki zbiorowe i indywidualne. Zabezpieczenie transportu, od powiednie nazy lokalowej, gastronomicznej oraz sprawnej organizacji i kultury wypoczynku to trudne zadanie, jakie stoi przed Miejskim Komitetem Turystyki, WKZZ, ZMS, PTTK, TKKF i przed państwowymi i spółdzielczymi instytucjami turystycznymi, wreszcie i radami zakładowymi.

Wiążę się z tym ściśle wzrost sieci ośrodków wypoczynku świątecznego i codziennego, który może nastąpić pod warunkiem, że

Nasza szkoła

Dalszy ciąg ze str. 1

W tym względzie właśnie, u progu lata, chciałbym Was przekonać. Nie będzie to głos w corocznej dyskusji na ten temat, każdego lata obowiązującej prasy, ale ordynarna, prymitywna i tendencyjna agitka.

Calej afery nie wymyślił jakiś diabeł z pudełka lub redakcji „Dookoła Świata”. Bakiem ruszania przed siebie w poszukiwaniu przygód i niewygód zarziliście Wasze dzieci Wy sami, dając im do ręki normalną literaturę młodzieżową z pocziwym Twalem i jego Huckami i Tomkami S. na czele. Rozbudziliście te dążeń, zapisując latorośle do harcerstwa, które też robi takie rzeczy, tyle że opinając uczestników wędrowek w mundury, przydając takt wędrl i paramilitarny dryl.

Jeśli Wasz syn (córkę) ma 16 lat, to przez te szesnaście lat podsycałicie w nim ochochę na taką wędrowkę, gdyż od pierwszego dnia życia codziennie wypowiadaliście w stosunku do takiego stwora po kilka tysięcy zakazów i nakazów dziennie. (Nie płacz, nie śluszaj, nie polujak gwoździ, bądź grzeczny, nie bij dziewczynkę, ucz się, wracaj do domu o siódmej itd.).

Tym samym, automatycznie, wzbudziłaście w takim wyrostku pęci obojętnej nieodpartę marzenie, żeby na jakiś czas przynajmniej wyzwolić się z wszystkich nakazów i zakazów w sposób pełny i absolutny. Jest to reakcja zupełnie usprawiedliwiona i nieodzowna.

Wasz podrosły syn (córkę) wyrusza na szlak, żeby uwolnić się od normalnego życia i jego utartych koleł, od tej machiny społecznej i obowiązków (szkół — dom), któreście (któreśmy) stworzyli, przymusowo go w ten interes pakując. Wyrusza po to, żeby nikogo nie słuchać, nie nie musieć, i zażyć wolności absolutnej, robić to wszystko, czego nie było wolno, między innymi właśnie krzyżeć.

Was to bardzo denerwuje, albowiem wyobrażenia o młodzieży łączyście z wszystkimi tymi zakazami, nakazami, rygorami, szkołami, lekcjami itd., jakim młodzież na codzień podlega. Jest to jej mundur. Wydaje się Wam, że młodzież jest nie na swoim miejscu, nie tam i nie taka, jaka być powinna denerwuje Was tak, jakby denerwował prof. Kotarbiń-

ski w stroju nurka. Denerwuje Was to tym bardziej, że nie po to buduje się kosztowną klatkę, żeby ptaszek skakał sobie po drzewach. Wy czujecie się więc wykluczeni.

Nie denerwujecie się. Spieszę wyprowadzić Was z błędu. Wykiwani zostajecie nie Wy — ale oni. Ptaszek wypuszczony z klatki natychmiast buduje sobie sam nową klatkę, mniej elegancką, może i przemysłową, ale o wiele solidniejszą.

Jeśli tym, co gna, jest chęć wyzwolenia się na jakiś czas ze wszystkich społecznych więzów, a tych przeznaczonych specjalnie dla młodych w szczególności, to rezultatem wyruszenia na szlak jest samostanowienie sobie wieżów równie rygorystycznych i jeszcze bardziej autentycznych.

societwem, rygorami i obowiązkami, podporządkowaniem innym ludziom i brakiem swobody.

Wyzwolenie od nakazów stworzonych poza społeczeństwem upodabnia młodzieź do dorosłych. To znaczy, iż życie w paczce, jego prawdziwości bliższe są autentycznemu życiu dorosłych niż nieautentycznemu życiu, jakim poddana jest młodzieź w wieku szkolnym. Mam tu na myśli nie tylko samodzielność w szukaniu środków do życia, samodzielność licznych wyborów, myślenie i troszczenie się o siebie itd. Na przykład flirt w bandzie bliższy jest współżwłokom dwójga ludzi dorosłych niż zwykłemu flirtowi sztubackiemu. Tam w mieście, to kilkugodzinne chodzenie, patrzenie sobie w oczy, całowanie, przekomarzenie,

sie zadość. Zbyt mizerne krótki i zbyt pozorny jest ten urlop od społeczeństwa, aby było czego zazdrościć i aby miało co denerwować. Możecie śmiało odplacać spojrzemiami pełnymi wyższości. Wy w odróżnieniu od nich wiecie już, że to pozór, złuda, a nie wyzwolenie i że to takie psie hasanie, po którym kundel tym chętniej wsadza mordkę w kaganiec.

Mamy, taty, cioci, babciu! Nie desperujcie, że Wasz beniaminek(ka) poszedł na szlak. Nie mu się tam nie stanie, a odebędzie bezpłatny kurs życiowy, z którego wróci pełen nie tylko wrażeń i przygód, ale i dojrzałości, „naogladany życia”, samodzielnego, życiowo mądrejszego, a co najważniejsze pełen wiedzy o tym, że, od obowiązków, od społeczeństwa, od zakazów, nakazów i prawdziwości, którym każdy jest poddany, nie ma ucieczki, ani ratunku. Wy starczy próbować ucieczki, aby dały one o sobie znać ze wzmoczoną siłą.

BELFER

TYLKO dla dorosłych

seans filmowy, kawiarnia, tańce. Tutaj — to wzajemne obowiązki, znoszenie cudzych humorów, przebywanie z sobą w rozlicznych okolicznościach, świadczenie usług, kompromisy, rezygnacje, konieczność stałej dbałości o siebie i stałej czułości — jednym słowem coś niby prawdziwe, dorosłe współżycie.

Znow młodzież zostaje wykiwana. Wyśniona erotyczna przygoda wakacyjna, ta w założeniu bardziej romantyczna, swobodna i pełna — niż w mieście, nagle okazuje się cięższą, trudniejszą, narzucana przeciwnościami i obowiązkami.

„Ale za to jakie możliwości poznawcze i jak pożądany bagaż doświadczeń!”

Kiedy więc taka paczka przeciągać będzie koło okien Waszego domu, nie gniewajcie się, że rzuca ona wyzwania Waszemu dorosłemu, szanownemu, stabilnemu, uwikłanemu w liczne konieczności świata, że sobie z Waszego życia i Was drwi, że czuje się ponad nim. To budza. To nieprawda. Otó przeciąga oniwersytet tego właśnie życia, jakie jest Waszym udziałem.

Dalej, ci krzyżacy, młodzie, kolorowi, niedomcy, obejmujący się ludzie wyszli przed tygodniem z takiegoż domu, jak i Wasz i za trzy tygodnie do takiegoż domu wróca. To krótki urlop sprzyjający tym pokornejszemu poddaniu się normalnym rygorom i rygorom życia, że wyhasaniu się i złudzie absolutnej wolności już stało

PS. I. Zawiadamiam nadzórne władze oświatowe, że z „Naszej Szkoły” wydany został z wilczym (a nie NBP) biletu uczeń M. Biel. Uczeń ten przebrał miarke w notorycznym nieuczynianiu dekazywania na lekcjach. Kiedy Belfer uczył o chlebie, on marzył o niebie. Kiedy lekcja była o wozie, on myślał o kozie. Ostatnio rzucił się na Belfra z rocznikiem GUS, czym dał ostateczny dowód, że nasz program go przerasta.

Uczeń Biel, wymachując owym ciężkim przedmiotem i powołując się na to, ile w Polsce sprzedaje się kretonu w ciapki, dowodził, że Belfer nie widział na Piotrkowskiej pani w sukni ze złotej lamy i nie potknął się o klość z piwem. Kiedy ja mówiłem, że w lesie rośnie też drzew, on krzychał, że nie, bo w morzu pływa miliard ryb. Poza tym, jak ja stwierdziłem, że wuj Piotruś umarł, to uczeń Biel, wdał się ze mną w pozbawione szacunku dla Belfra polemiki na zasadzie wu, wu, wu... wódki pije się u nas tyle i tyle. I w ogóle wmałwiał Belfrowi jakieś artykuły ekonomiczne. Obmowa zaczyna się od artykułów ekonomicznych, a kończy na insynuacjach o deprawowaniu nieletnich. Już ja wiem.

Od decyzji powyższej nie ma odwołania.

PS. II. Biel, zachował się niegrzecznie i bezmyślnie w felietonie nt. „Disce Belfer”. „Statystyka i kochająca dziewczyna” w „Dzienniku Łódzkim”. To ostatnie pozwala mieć niejaki nadzieje. Uczeń Biel, może się jeszcze odkocha, poprawi i nauczy czytać uważnie cudze felietony.

wszystkie wymienione tu instytucje i organizacje połączą swe środki finansowe i nawiążą odpowiednią współpracę w tym kierunku.

Na terenie woj. łódzkiego istnieje szereg ładnie położonych miejscowości, które posiadają bardzo dobre warunki naturalne do wypoczynku. Lecz obok walorów naturalnych konieczne jest wyposażenie tych terenów w niezbędne urządzenia, zapewniające odpowiedni wypoczynek. W ubiegłych latach inicjatywa szeregu związków branżowych skupiała się przede wszystkim na budowie sezonowych ośrodków urlopowych poza terenem woj. łódzkiego, przede wszystkim nad morzem. Tak na przykład związek włóknarzy ulokował wszystkie swe finanse, przeznaczone na cele wypoczynkowe, w urządzenie ośrodka urlopowego w Uście, aczkolwiek przedtem projektowano przeznaczyć je na rozbudowę Spawy. Nie podaje tego ja-

ko zarzutu, ale podkreślam, w formie przykładu. Wydaje mi się jednak, że budowa ośrodków urlopowych winna leżeć przede wszystkim w kompetencjach Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Zarządy okręgowe związków zawodowych jak również bogatsze rady zakładowe powinny zwrócić baczniejszą uwagę na budowę ośrodków wypoczynkowych w swoim terenie. Nie chodzi jednak o postawienie kilkunastu domków campingowych, gdzieś w głębi lasu, bez odpowiedniego zaplecza, uzbrojenia terenu i z kłopotliwym dojazdem, ażeby uczynić zadość modzie. Lokalizacja i wyposażenie ośrodka winno zapewnić możliwość spędzenia wolnego od pracy czasu szerszemu gronu pracowników nie tylko z danej branży.

Jak dotychczas, rozważną inicjatywę w tym kierunku wykazał tylko ZO Bu-

dowlanych i ZO „Leśnych i Drzewnych”.

Ośrodek Wypoczynkowy typu campingowego zbudowany przez „Budowlanych” w Grotnikach jest jednym z prawdziwych zdarzeń miejscem wypoczynku w całym województwie. Poprzez splętnienie wody na małej rzeczce Lindzie uzyskano duże kąpielisko, uporządkowano plażę, zaopatrzone ośrodek w sprzęt pływacki, postawiono dużą ilość domków, zbudowano ładną kawiarenkę nad wodą, wykorzystując naturalne możliwości terenu urządzono amfiteatr na wolnym powietrzu, gdzie w sobotę i niedzielę będą koncertować orkiestry.

W okresie najbliższej piecioletki wielki ośrodek tego typu ma powstać również w dolinie rzeki Mrogi koło Rogowa. Poza tym przewiduje się generalną rozbudowę Arturówka oraz przystosowanie do wypoczynku świątecznego Stawów Jana na Chojnach.

Natomiast wiele obaw mo-

że wzbudzać tak popularna miejscowość wypoczynkową letniskowa jak jest Kolumna. Obecnie jest to miejsce dzięki, coniedzielnego najazdu Hunnów, którzy w liczbie 15-20 tysięcy traktują tujejsze lasy, niszczą przyrodę, tłustymi papierami i butelkami po wypitym alkoholu zaśmiecają całą okolicę. W Kolumnie brak jest jakichkolwiek urządzeń sportowych, wypoczynkowych i kulturalnych. Jedyne atrakcje dla łódzkich wycieczkowiczów stanowi popularnie zwany „Bar pod bykiem”, miejsce pijackich orgii, a nie wypoczynku. Szkoda, że ta ładna miejscowość położona blisko Łodzi i dobrze połączona z miastem komunikacyjnie nikt dotąd poważnie się nie zainteresował.

W końcu przeciętnej kwestia nie luksusowych ale przynajmniej dostatecznie wyposażonych i dostosowanych do wypoczynku i aktywnego wypoczynku ośrodków

(Dokończenie na str. 4)

POZNAN

à
la
minute

TEKST:

Krzysztof
Pogorzaelec

ZDJĘCIA:

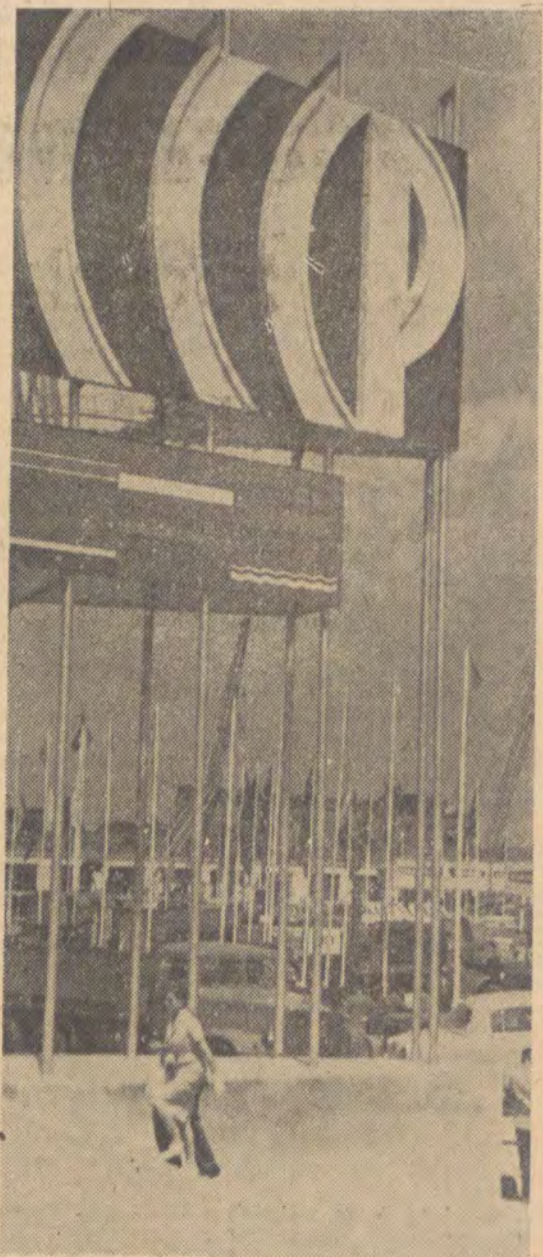
Andrzej
Izerski



A potem można znowu powiedzieć: — Byłem w Afganistanie. Takich egzotycznych gości jest na XXIX MTP bardzo wielu i co roku przybywają nowi.



Ekspozycja jakiego jeszcze nie było: SZKLANY CZŁOWIEK. Dokładniej — kobieta. Nie ma tajemnic. Wszystko... jak na dłoni. Muzeum Higieny z Drezna zrobiło piękną niespodziankę polskim medykom.



Dziesiątki maszyn, górnicze „kacze dzioby”, obrabiarki, „Czajka” — krążownik szos pędzący z szybkością 160 km. Wreszcie puszyste futra i wina, które są samym słońcem w flasce. Ekspozycja ZSRR.



— Mamo, kup mi takiego! Polskie zabawki oraz inne wyroby przemysłu lekkiego są targowym magnesem. Świat bajki i marzeń: jednych o „dmuchającym” łabędziu, innych... o kuponie materiału bouclé!



Best food from Poland. Szynka i bekonny cieszą podniebienia Anglików, Niemców oraz Amerykanów. W tym roku artykułów spożywczych sprzedamy za blisko 4 mln. rubli. Ale parówka to jednak dobra rzecz. Specjalnie pod... krajową musztardę.

ZACZEŁO SIĘ W ROKU 1921, ale tak naprawdę to Poznańskie Targi stały się MIEDZYNARODOWYMI w cztery lata później. Gości zagranicznych było kilku... W r. 1935 na XIV MTP padł „przed wojenny” rekord: 18 krajów urządziło swoje ekspozycje.

W OKRESIE OKUPACJI tereny wystawowe zostały niemal całkowicie zniszczone. W halach wystawowych hitlerowcy zaistalowali fabrykę sprzętu lotniczego, którą zbombardowano w roku 1943.

DRUGA PREMIERA odbyła się w roku 1947. Duże zainteresowanie i... pierwsze kłopoty z wystawowymi „pielgrzymami” z terenu całego kraju. O cztercietniej przerwie, która w poznańskiej imprezie przypadła na lata 1950—54 nasi handlowcy mówią raczej niechętnie...

TARGI REDIVIVUS! Rok 1955 i od razu 28 państw z 4 kontynentów. Obroty — miliony dolarów i rubli. Czerwiec 1960 — **REKORD**. Na XXIX MTP można

zobaczyć towary z 55 państw z 5 kontynentów. Dyrektor Askanos — „głowa” Targów interesuje się astronautyką. Słusznie: kosmos też się może liczyć. Będziemy mieli wtedy do czynienia z handlem... kosmonautycznym!

„OPERACJA SWETERKOWA”. Tak się w języku dziennikarzy nazywa ewolucja, którą przeszły MTP. W ciągu ostatnich lat zniknęły wystawy ciuchów, nałamał głos zabrala technika i jej producenci. Tacy potentaci jak KRUPP, MERCEDES, PEY, MAGIRUS, FORD, FIAT — to stali poznańscy goście.

OPRÓCZ UMÓW HANDLOWYCH przedmiotem zainteresowań są nowinki techniczne. MTP to „salon” wynalazków i postępu. Specjalne Biura Informacji Technicznej zajmują się wymianą tych doświadczeń. Odbywają się międzynarodowe prelekcje, odczyty i pokazy filmowe. W bieżącym roku udział w tych imprezach zgłosili specjaliści z kilkunastu krajów.

CECHA CHARAKTERYSTYCZNA — obok potentatów występują debiutanci. W tym roku — Afganistan, Ghana, Holandia, Tunis. Zacieramy z tego powodu ręce: to szansa dla rozwoju naszego handlu, wejścia na nowe rynki.

DOMINUJĄ MASZYNY. 90 procent ekspozatów takich państw jak ZSRR, NRD, NRF, Francja, Włochy czy Wielka Brytania — to mechanizmy i urządzenia produkcyjne. „Jedną drogą dziś wszyscy idziemy” i w polskiej ekspozycji akcentem nr 1 są obrabiarki. Jest ich dokładnie 30. Najważniejsi producenci — Włopotama, Zakłady w Pruszkowie, „Cegielski” z Poznania, no i proste lodzian — „Strzelczyk”. Szlifierka SFB-25 — to majstersztyk. Odbiorcy — niemal cały świat, łącznie z takimi specjalistami jak Niemcy i Anglii.

POLSKI PRZEMYSŁ LEKKI: nie mamy się czego wstydzić. Wręcz przeciwnie. „Bawelna” pokazuje ok. 700 różnych tkanin, „Wetna” ponad 500, a „Jedwab” — 300. Najnowsze szlagiery tej

branży: tkaniny bielone barwnikami fluoryzacyjnymi, sanforyzowane, „non-iron-finish” oraz „Drip-Dry”. Prognozy kulturalowe: korzystne transakcje wiszą w powietrzu...

NAJWIĘKSZY SZLAGIER POLSKIEJ EKSPOZYCJI. Pawilon centrali „Cekop”. Specjalność? Ekspozycja gotowych fabryk: cukrowni, cementowni, drożdżowni, elektrowni, fabryk kleju, wytwórni betonów. Ekspozycja polskich kompletów i urządzeń przemysłowych wzrasta w bardzo szybkim tempie. W stosunku do roku 1958 — czterokrotnie. Odbiorcy — kraje Ameryki południowej, Bliski Wschód oraz Azja.

TROCHE FINANSÓW: W roku ubiegłym na XXVIII Międzynarodowych Targach Poznańskich zawarto umów eksportowo-importowych na sumę 449 milionów złotych dewizowych, czyli na 110 milionów dolarów. Jest to 8 proc. ogólnych naszych obrotów z zagranicą. Cyfra ta jest tym poważniejsza, że na MTP nie han-

dujemy węglem. Targi nie są wystawą...

DOLARY PŁYNĄ PRZEZ POZNAN. Na urządzenie terenów wystawowych wydano w r. 1955 około 65 milionów złotych. Czy to się opłaciło? W roku 1956 MTP przyniosło organizatorom 3.451 tys. złotych czystego dochodu, w roku 1957 — już 5.531 tys., a w 1958 — blisko 10 milionów złotych. Wpływy dewizowe za powierzenie wystawową od wystawców zagranicznych w roku 1958 — dokładnie: 1.607 tys. dolarów.

FREKWENCJA, ale specjalnej kategorii gości — kupców i producentów zagranicznych. To jest wskaźnik prężności imprezy. W roku 1955 zanotowano 2142 cudzoziemców, w 1956 ponad 2.700. W rok później ilość zagranicznych gości sięgnęła granicy 4.770 osób.

odgłosy

JERZY DAGOBERT

Baronowa Anna Wolkoff

Towarzystwo bawiło się znakomicie. Mimo spóźnionej pory nikt z kilkudziesięciu gości lady Brouncoop nie kwapił się do wyjścia. Służba roznosiła lody i chłodzące napoje, a stół z potężną baterią różnokolorowych butelek z winem, whisky, wódką i koniakiem był stale oblegany przez wyfraczonych mężczyzn. Pito dużo, tańczono nie mniej. Rozległy taras pałacyku Brouncoopów był w tym dniu parkietem tańczącym.

Do wytwornej pani domu zbliżyła się kobieta, której postawa i uroda zwracały powszechną uwagę. Znała ją dobrze. Cieszyła się dużym powodzeniem w najlepszych sferach londyńskich. Wiele domów lordowskich stało przed nią otworem. Podziwiano ją nie tylko dla jej urody. Powszechnie uchodziła za najlepiej ubraną kobietę Londynu, a jej dziwactwa ciągle były na ustach pań z towarzystwa. Ostatnio wzbudziła nie lada sensację pojawiając się któregoś popołudnia na spacerze z wielkim brązowym kotem, prowadzonym na smyczy. A kot miał na szyi szereg obroży z masywnego złota...

— Moja droga, chciałam Ci podziękować za uroczysty wieczór.

— Kochanie, ależ jeszcze za wcześnie — próbowała zatrzymać gości lady Brouncoop.

— Na mnie już czas. Przebież jutro normalny dzień pracy dla mnie.

— Ach, ta twoja praca Anno! Masz tyle przystojnych pań u siebie, które Cię znakomicie zastępują. Oczy-

wiście w interesach — szybko dodała lady.

— Czy pozwolą panie, że przerwę — wtrącił się do rozmowy obu kobiet młody, elegancki mężczyzna, który od dłuższego czasu stał obok.

— Proszę bardzo, Tyler — z uśmiechem odpowiedziała lady. — Moja Anno, pozwól, że ci przedstawię chlubę amerykańskiej dyplomacji — mister Kent, Tyler Kent, Amerykanin urodzony w Mandżurii, czy to nie paradoksalne?

— Miło mi poznać pana. Jest pan doskonałym tancerzem. I wygląda pan bardziej na sportowca niż na dyplomata.

— Dyplomacja, madame, również wymaga ciągłych treningów, by utrzymać kondycję. Zupelnie jak w sporcie...

— Dowcipny jesteś, Tyler — z zadowoleniem stwierdziła lady Brouncoop. — A poza tym — mogę Ci go zarekomendować: jest doskonałym kierowcą.

— Świetnie się składa. Dziś jestem bez szofera, a że nieco więcej wypłam, niż powinienam, czy pozwoli pan, że poproszę, by odwiózł mnie pan moim wozem.

— Z przyjemnością.

Baronowa Anna Wolkoff podała ramię wysokiemu Amerykaninowi i pożegnała gospodynię uroczym uśmiechem.

RODOWODY

Dom mody baronowej Wolkoff należał w latach przedwojennego Londynu do jednego z najelegantszych.

Anna przybyła do Londynu jako dziecko, jedyna córka careckiego admirała, który zbiegł do Anglii w okresie rewolucji październikowej w Rosji. Wychowana według najlepszych wzorów angielskich, urodziwa Anna szybko zjednała sobie uznanie towarzystwa. Jej samodzielność, a jednocześnie kobiecość były ponętą pokusą dla niejednego. Ale Anna była przeciwna wszelkim trwałym związkom. Miała przyjaciół, była niezależna, bogata, wybierała sobie partnerów takich, na jakich miała ochotę. Oczywiście po stepowanie Anny szokowało i bulwersowało otoczenie. Ale z czasem przyzwyczajono się do tego. Urodzie i bogactwu wiele się wybacza. Zatrzymując zaś dla siebie tytuł szlachecki, trzydziestoletnia baronowa Anna Wolkoff stała się wkrótce najpopularniejszą osobą w salonach londyńskich.

Kim był Tyler Kent? Był to młody, 24-letni, wykształcony, mężczyzna. Miał ukończoną szkołę w Princeton, a następnie studia w paryskiej Sorbonie, w Uniwersytecie Madryckim i wreszcie ukończony Uniwersytet w Waszyngtonie. Pochodził z doskonałej rodziny amerykańskiej. Jego ojciec był zawodowym dyplomata, a matka spodkołiercznia jedną z największych fortun amerykańskich. Był jedynym synem małżeństwa Kent i mając 22 lata rozpoczął służbę w dyplomacji. Rozpoczął pracę w ambas-

(Dalszy ciąg na str. 8)



NIE DLATEGO ŻE TAK TRADYCJA KAŻE



Redaktor naczelny „Głosu” — Stanisław Mojkowski



Red. Irena Kawczakowa



Red. Henryk Rudnicki

Nie dlatego, że tradycja, nie dlatego, że jubileusz, że na pierwszej stronie gazety widnieje rzymska piątka, że wszyscy nadesłali życzenia, że na stole redaktora naczelnego był stos depezy, że przy tradycyjnej lampce wina zgrupowało się dwadzieścia pięć osób, i nie żeby wspominać, opisywać dobre i złe dni — nawet gdyby nie było jubileuszu, gdyby nie było święta, gdyby to nie był piętnasty rok, a jakikolwiek inny i nie numer kolejny 4949, pisałbym o tej gazecie, napisałbym najelegantszy. To niedobre, że na początku ogłaszam swoją ocenę, niedobre tylko ze względów taktycznych, muszę jednak tak napisać, to jest dobra gazeta, oceniam ją teraz jako jeden z jej czytelników, którego gazeta obsługuje, któremu codziennie przynosi wiadomości ze świata, z kraju, z miasta, podaje je w takiej formie, która zaciekała.

„Głos Robotniczy” staje się z każdym dniem coraz lepszy, jest jedną z ciekawszych gazet w Polsce, powtarzam w Polsce, i to potrafię udowodnić, ja to dostrzegam, każdy musi to dostrzec, mówię na razie o zestawie treści nie o układzie graficznym, o wydobywaniu z tysięcy depezy i wiadomości tych, które są najważniejsze i najbardziej interesują czytelnika. To nie jest jubileuszowy toast, to jest recenzja i wkrótce udowodnię, że obiektywne recenzja, powiem co dobre, i powiem co niedobre. Był czas, że pismo różniło się od innych gazet tylko formułą, każdy tym nie różniło się niczym, nie różniło się nawet czcionką, na tym samym linotypie ją składano, na którym inne gazety, nawet często ten sam zecer, ta sama „Modena” i ta sama „Pancuropa” w tytułach, czytelnik brał do ręki np. „Dziennik” i nie miał po czytało potem w „Głosie”, te same wiadomości, te same tytuły i może tymi samymi nożyczkami wycinano komunikaty Papu. Proszę sprawdzić teraz, proszę wziąć numery „Głosu” z ostatnich tygodni i miesiąc, gazeta ma swoje „oblicze”, zachowuje swoją odrębność, nie jest odbitką innych gazet, mimo że w dalszym ciągu czcion-

ka w niej jest ta sama, którą spotykamy w „Dzienniku”, „Expressie”, w „Odgłosach”, w „Ziemi Łęczyckiej”, czcionka jest ta sama, zecer jest ten sam, drukarnia ta sama, technika „średniowieczna”, a gazeta inna, nowoczesna.

Gazeta ma swoje oblicze, to znaczy, że nie jest kopią gotowych i schematycznych biuletynów, redaktorzy umieją nadać jej barwę życia, podać interesującą każdą wiadomość. „Nożycy” to nie jedyny narzędzie w pracy redaktora, potrzebna tu jest rzecz bardzo istotna, potrzebny jest stosunek do materiału, który podsuwa życie, ale nie tylko do materiału, potrzebny jest określony, zdecydowany stosunek do życia. W jubileuszowym felietonie redakcja „Głosu” podała, że gazeta była wierna partii, jej myśli i idei, jej ludziom. „I zarazem w ciągu tych lat uczuliśmy się i nadal uczymy się wierności wobec człowieka pracy”. Ale ta wierność wobec wszystkich codziennych spraw człowieka jest trudna, jak stwierdza redakcja, wymaga ona nie tylko „umiejętności wydobycia tego co cieszny”, ale „odwagi obnażania i zwalczania tego co boli dręczy, co nieraz brzemienne jest krzywdą i niesprawiedliwością”. Taka odwaga jest trudna, taka odwaga nie zawsze jest popularna. Polityka redakcyjna jeśli bazuje na określonym stanowisku ideowym, a nie idzie drogą powierzchownego schlebienia fałszywym smaczkom, jest trudna, trzeba piętnaście lat żmudnej pracy, żeby dorobić się modelu pisma, aby nabyć umiejętność fotografowania życia, ale gazeta nie tylko jest fotografią, nie tylko kroniką filmową, gazeta jest narzędziem kształtowania opinii. Pouczająca jest historia piętnastu lat, jest to długi okres czasu i nie długi, dobre powieści rozdziły się w ciągu dłuższego okresu. Aleksy Tolstoj pisał „Droga przez mękę” dwadzieścia dwa lata. Nie można mechanicznie zestawiać pracy nad powieścią z pracą w gazecie, ale można przytoczyć ten przykład, recenzjki gazety odbijają życie, odbijają epoki, to nie tylko kroniki wydarzeń, nie tylko relestry wypadków, to również historia ludzi i historia stosunku do ludzi.

To jest właśnie partyjność, właściwy stosunek do ludzi i ich spraw, dzięki tej partyjności gazeta jest żywa i aktualna.

Proszę uczynić eksperyment, przerzucić kilka gazet i odłożyć na bok te, o których można powiedzieć, że już są „przeczytane” i te, do których obiecuujemy sobie jeszcze wrócić, do których jeszcze wracamy. „Głos” należy do tego drugiego rodzaju gazet, który się jeszcze „oczytuje”, mówię o czasie teraźniejszym, oceniam pismo wychodzące dzisiaj. Proszę zrobić tygodniowy zestaw treści, gazeta jest harmonijnie komponowana, komentarze polityczne są coraz ciekawsze, nie powtarzające sloganowych komunikatów, reportaże z terenu i miasta są coraz ambitniejsze, jako relacje o rzeczywistości coraz ciekawsze, nie unikające poważnych spraw, nie tracą przy tym nic ze swojej przystępności czytelniczej. Stale rozmowy z czytelnikami, jak na przykład felietony „Hendryka” zyskują coraz większe uznanie, dział kulturalny jest interesujący, ale nie powiedziałem, że będę pisał prawdę, więc osobiście, jako czytelnik, wolabym widzieć w nim większą rotację nazwisk, parafraza, dziennikarska i naukowa w Łodzi jest bardzo liczna, pismo jest łódzkie, rdzennie łódzkie i z tego tytułu nie można się obawiać powiększenia grona współpracowników.

Powtarzam, „Głos” ma swój styl: styl gazety zależy nie tylko od doboru rodzaju czcionek; asortyment materiału drukarskiego w łódzkiej „Prasie” nie jest za bogaty, mimo to „Głos” zrywa ze starych jednostajności i szarości kolumny, pismo jest teraz żywsze, graficznie, nieraz nawet ciekawe, zyskuje swój odrębny wyraz. Ale styl gazety to nie tylko koncepcja graficzna, realizacja tej koncepcji, dobór czcionek, forma budowy tytułów, to także i przede wszystkim treść. A ta jest coraz żywsza, ciekawsza, ambitniejsza i wolno sądzić — i żyć — żeby była, że będzie jeszcze żywsza i jeszcze bardziej ambitna.

TADEUSZ PAPIER

Wypoczynek pod łódzkim niebem

(Dokończenie ze str. 2)

podłódzkich posiada znaczenie wychowawcze. Chodzi o przełamanie tradycyjnego stylu wypoczyniania, który polega wyłącznie na całodniowej siestce w cieniu krzewów, gdzie wódka, kiełbasa i jajka na twardo stanowią niedozwoloną cechę robotniczego wycieczkowicza. Ten styl wypoczyniania nie regeneruje w ogóle sił, pasywna kontemplacja w błogim nastroju jedzenia i picia musi zastąpić aktywny wypoczynek. Łagodną perswazją niestety, zlej tradycji nie wykożeni się. Dlatego też wszystkie ośrodki campingowe winny być zaopatrzone w dostateczną ilość sprzętu sportowego.

W tej chwili takich mniejszych ośrodków campingowych jest na terenie województwa ponad 20. Rządzą który jednak dba o poszerzenie arsenału środków atrakcyjnego wypoczyniania. Niektóre zarządy okręgowe związków zawodowych jak również rady zakładowe, na ogół zasobne w finanse, ograniczyły się do postawienia kilku lub kilkunastu domków campingowych gdzieś w głębi lasu, uważając sprawę za zakończoną pod tym względem. Tak szumnie zwa ne ośrodki campingowe okazują się więc tylko zwykłymi biwakami.

W ogóle propagowanie idei turystyczno-krajoznawczych wśród pracowników fizycznych odbywa się bardzo powoli i nieskutecznie. Sam fakt, że wśród istniejących na terenie miasta Łodzi 72 kół PTTK tylko 19 istnieje w zakładach produkcyjnych świadczy o tym, że kierunek działalności Łódzkiego Oddziału PTTK jest

niewłaściwy. PTTK winno zmierzać przede wszystkim do ogarnięcia swą działalnością i zaktywizowania tych środowisk, które nie mają jeszcze nawyków turystycznych.

W tej sprawie istnieje nawet zawarte wspólne porozumienie CRZZ i ZG PTTK. Porozumienie istnieje, ale jak dotąd, bez żadnych realnych konsekwencji.

Chodzi o to, ażeby wśród robotników popularyzować turystykę niekwalifikowaną (piesza, wodna, kolarska, narciarska). Za przykładem szeregu zakładów z terenu Warszawy i Śląska mogłyby i w większych łódzkich zakładach pracy powstać wypożyczalnie sprzętu turystycznego pod pieczą miejscowych kół PTTK. Innowacja ta spotkałaby się na pewno z dużym uznaniem, szczególnie wśród młodzieży pracującej. Jak dotąd żaden zakład pracy w Łodzi nie posiada własnej wypożyczalni sprzętu turystycznego.

Złożonych problemów racjonalnego wypoczynku po pracy nie da się rozwiązać ani jedną konferencją, ani

tym bardziej jednym artykułem w gazecie. To jest oczywiste. Lepsza organizacja wypoczynku sprzyjającego rozwojowi sił duchowych i fizycznych ludzi pracy, dążenie do masowości i powszechności wypoczynku — powinno bardziej przykuwać uwagę władz naszego miasta.

KAROL BADZIAK

P. S. Pragnę poinformować tych, którzy na niedzielnym wypoczynku wybierają się w okolice podmiejskie że Miejski Komitet Turystyki postarał się dla nich o 33-procentowe zniżki kolejowe. Zniżki te obowiązują od 1 maja do 1 września w sobotę od godz. 14 do poniedziałku godz. 8 rano. A ośmiomiejscowości, do których można wykupić bilety ulgowe ze stacji Łódź-Fabryczna: Bedoń, Gałkówka, Jeleni, Justynów, Wągrzy i Zakowice.

Dworzec Kaliski: Borszewice, Dobroń, Grotulki, Kolumna, Mecka Wola, Smardzew, Poddebice i Swierków.

Informacje te podaje dlatego, że PKP celowo sabotuje zarządzenie nie podając go do publicznej wiadomości podróżnym na dworcach. Poza tym kasy biletowe na Chojnach i Niełazianie w ogóle nie otrzymują takiego zarządzenia. Sadzę że powinno ono dotyczyć wszystkich kas biletowych PKP na terenie Łodzi.



Korespondencja własna „Odgłosów” z LIBANU

Moi znajomi, którzy widzieli któryś z krajów arabskich, albo Izrael, albo Grecję, albo Cypr — zgodnie kiwali głowami, wydając przy tym głośnie cmokanie. Niektórzy posuwali się jeszcze dalej i przytykali jedno oko, tym znanym gestem dając mi do zrozumienia: „No, już my Ciebie przejrzyliśmy na wylot...”. Działo się tak w chwili, kiedy oświadczyłem, że właśnie jadę do Bejrutu. Byłem głęboko wstrząśnięty. Bo przecież cmokanie oznaczało nie co innego, jak tylko to, że jadę do współczesnej Sodomy (z Gomora na dokładkę), że ja tam się dopiero napatrzeć! Tak jakby dopiero w Bejrucie można było zobaczyć to wszystko, co można bez trudu ujrzeć na Białanach w pogodny, lipcowy wieczór. Pisz „na Białanach”, ponieważ jestem war-

trupa mężczyzny w średnim wieku, ubranego elegancko, ale pozbawionego jakiegokolwiek dokumentów. Zabity nie miał przy sobie nic, prócz biletu do jednego z kin Damaszku.

Po nitce do kłębka, policja zdołała ustalić, że zabitym jest ojciec Masaad, mnich maronicki. Ale dlaczego był ubrany w garnitur, zamiast sutanny? Kto go zabił? Dlaczego zniknęły dokumenty? Fakt, że zabity był mnichem mógł kierować podejrzenia w stronę nierzadkich w Libanie rozgrywek religijnych. Jednak dalsze śledztwo ustaliło, że sprawa miała inne, o wiele częściej spotykane w tym kraju podłoże.

Wreszcie zgłosił się do policji świadek, który krytycznego wieczoru zaobserwował kremowy samochód marki „Peugeot”, stojący w pobli-

bankiera. Bankier zaprzeczył zwałając wszystko na najętego zbirę. Przyznał się, że zwabił mnicha, obiecując mu szampańską zabawę „gdzieś w mieście”. Dlatego mnich ubrał się w garnitur zamiast sutanny. Do chwili, w której wyjeżdżałem z Libanu kwestia kto zabił nie była rozstrzygnięta, sądzić jednak należało, że obaj pójdą na szubienicę. Zresztą zakończenie sprawy nie jest tu dla nas decydujące. Ważniejsze jest co innego.

Co było motywem zbrodni? Kiedy śledztwo poruszyło ten temat, wyszły na jaw dziwne rzeczy. Po pierwsze, okazało się, że zwykły mnich, a jest ich w Libanie sporo, jak zresztą wszędzie w „Ziemii Świętej”, był zapalonym podróżnikiem. Bilet do kina w Damaszku — chęć do kina nie jest najzwyklejszym sposobem

wówczas gdy sprawa stała się naprawdę pasjonująca — wszystko przyciekło. Prasa nabrała wody w usta. Zamieszczano tylko małe notatki, głoszące, że w sprawie Masaada nie zaszło nic nowego.

Kiedy wyjeżdżałem, rozgłosowi sprawy ukręcono leb. Obaj mordercy zostali z pewnością skazani, ale broń Boże — nikt ponadto. Sposób postępowania dosyć znany...

PODRÓŻE HEROINY

Natomiast sama historia była bardzo libańska. Bo też Liban jest, a zwłaszcza Bejrut, nieustannym utraceniem międzynarodówki politycznej, zwanej „Interpolem”.

Do małych portów rybackich w biblijnych miastach Sydonie, Byblos i Tyrze zawiąza co dzień małe stateczki: żaglowe, albo z motorami. Każdy Libanczyk, pa-

adresem docelowym są zwykłe Stany Zjednoczone. W przemyśle do tego kraju specjalizują się Włosi, a zwłaszcza sycylijska mafia. W porcie w Nowym Jorku jeszcze przed zejściem na ląd, przemytnik może otrzymać za tenże kilogram narkotyku około 16 tysięcy dolarów. Ale na lądzie ta sama ilość, przemieniona w oddzielne porcje narkotyku przystosowane już do życia przez narkomanów, będzie miała wartość 350 tysięcy. No, cóż — za ryzyko trzeba płacić.

Tak to wygląda i zrozumiałe jest, że w tych warunkach przemyt narkotyków — mimo wysokich kar — wciąż znajduje swoich rycerzy. Bejrut jest ważnym ogniwem na drodze tych „wypraw krzyżowych”. Ogniwem wręcz nie do ominięcia.

Czytałem pełen oburzenia wywiad szefa libańskiej policji, który twierdził, że ja ma Libanu jako wielkiego centrum przemytu narkotyków jest niesłuszna. Jej uzasadnienie widział szef w

albo jeszcze dalej na wschód. Teraz już nie mówi się o karierze scenicznej. Teraz mówi się tylko o pieniądzach. Pierwszeństwo ma ją blondynki.

Ta forma działalności nie wyczerpuje jeszcze listy „zajęć” rozmaitych panów Ghosn. Trzeba tu także doliczyć przedziwne machinacje walutowe. Tak dziwne, że nawet nasze złotówki, mają, jak mi mówiono, zbyt w tym mieście, a potem przemycia się je gdzieś do zachodniej Europy. W jakim celu, po za oczywistym celem, jakim jest zarobek? Tego nie wiem, miałem zbyt słabych w tej dziedzinie informatorów.

Trzeba tu także doliczyć „normalną” spekulację. Poważni kupcy libańscy twierdzą, że w tym kraju jest zawsze zapas towarów na dwa lata. Może ceny podskoczą? Może wybuchnie jakaś wojna? Mądry kupiec jest na to zawsze przygotowany.

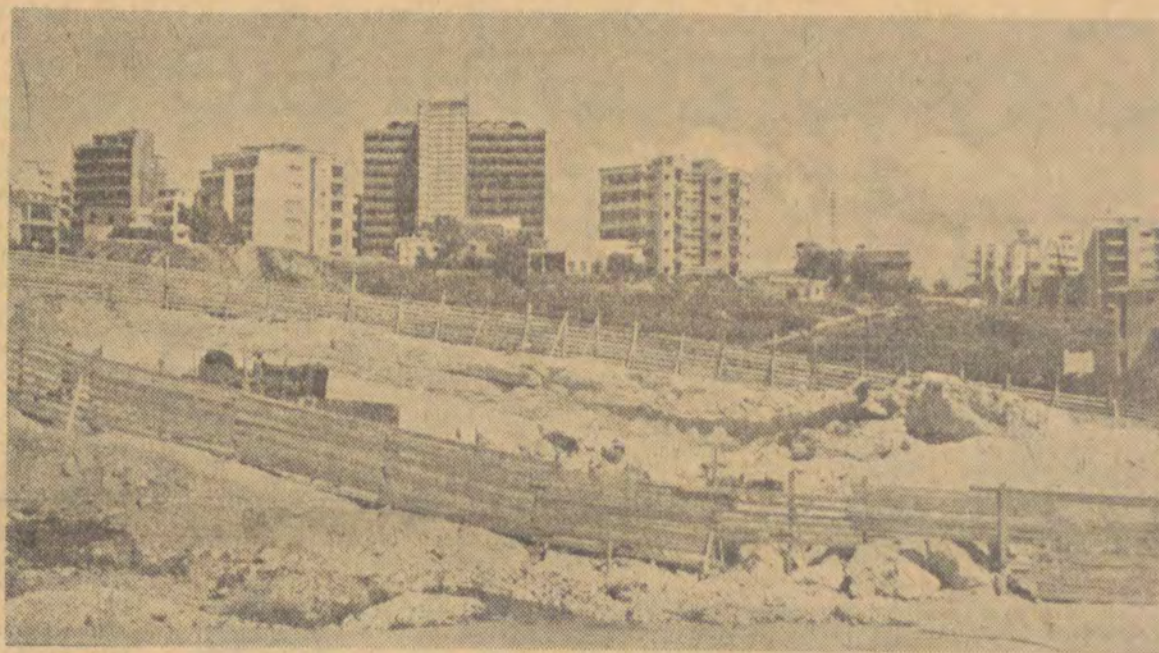
Dochodzą do tego także machinacje handlowo-polityczne. Żaden kraj arabski



Tędy przepływa kontra banda

KAZIMIERZ
DZIEWANOWSKI

Zdjęcia autora



Nowe dzielnice Bejrutu

(nie bardzo) ŚWIĘTEJ

szawiakiem i proszę redakcję o wstawienie w odnośniku właściwej nazwy łódzkiej.

W każdym razie mogłem wywnioskować, że we wszystkich sąsiadujących z Libanem krajach (bo stąd czepali swą wiedzę moi znajomi), panuje opinia, iż Bejrut to prawdziwy raj na ziemi, ale taki, no, nie bardzo... święty. Raczej przeciwnie. Byłem tego nieco ciekaw, z czysto zawodowego, kronikarskiego punktu widzenia, żebyście sobie nie pomyśleli czegoś innego.

Na początku okazało się, że, przynajmniej jeśli chodzi o powszechnie przyjęte gesty, sytuacja jest inna niż w Polsce. Jeśli Arab kiwa głową i cmoka, to znaczy, że wyraża zupełną, totalną negację. Także i inne sprawy okazały się niezupełnie takie, jak sobie wyobrażali moi znajomi. Jeśli Bejrut jest rajem, to w każdym razie nie dla wszystkich. Ale... dla niektórych jest. Na pewno!

MNICH I DIAMENTY

Ze jest to raj dla ludzi nie bardzo świętych — udowodnię Wam na przykładzie pewnej historii, która rozegrała się podczas mojego pobytu w Bejrucie.

Pewnego dnia policja znalazła w pobliżu małej miejscowości niedaleko Bejrutu

żu miejsca, gdzie znaleziono trupa w tym właśnie czasie, kiedy prawdopodobnie, popełniono morderstwo. Wśród ludzi, z którymi mnich stykał się najczęściej, był posiadacz takiego samochodu: bankier, właściciel wielkiego kantoru wymiany pieniędzy — George Ghosn.

Śledztwo trwało dalej. Okazało się, że Ghosn spotkał się tego dnia z mnichem. Przyjął go nawet w domu, na obiedzie. Potem odwiedził go gdzieś samochodem, wrócił do domu i następnie pojechał do biura, gdzie nieraz pracował do późna w noc. Ale było to słabe alibi — Ghosn nie miał świadków. Około dziesiątej wieczór zadzwonił do żony, by przygotowała się, ponieważ spędzą wieczór w nowo otwartym kasynie pod Bejrutem, kasynie będącym „ostatnim krzykiem nowoczesności” w tej dzielnicy. Warto dodać, że Libańczycy liczą, iż w przyszłości ich kasyno zakasuje Monte Carlo, a to ze względu na wspaniały klimat Libanu. Tam właśnie — w kasynie — małżeństwo Ghosn bawili się do szóstej nad ranem.

Później jednak znaleziono jeszcze jednego człowieka. Okazało się, że został on wynajęty przez Ghosna, aby „postraszyc” mnicha. Aresztowany przyznał, że wyruszył do Masaada, ale, że ten, ranny, został dobity przez

— był tylko drobnym śladem jego manii podróżowania. Znacznie poważniejsze ślady można by odnaleźć na przykład w Brukseli. Mnich jeździł do rozmaitych krajów: do Egiptu i do Ghanu, do Syrii i Belgii. Policja zaczęła przyglądać się bliżej tym podróżniczym zamysłom nieboszczyka Masaada. Bomba pękła: mnich przemycił na wielką skalę diamenty. Diamenty przemycane z Afryki do Brukseli przynosiły ogromne dochody. Z kolei z Brukseli szmuglowano oszlifowane kamienie. To znowu daje pokładne zyski. Ojciec Masaad nie działał, oczywiście, sam. Jego finansistą, człowiekiem, który dostarczał niezbędny kapitał obrotowy, był właśnie George Ghosn. Ale ostatnio mnich „pożyczył” od Ghosna 350.000 funtów i nie chciał oddać...

Czy oprócz diamentów kryło się za tym coś jeszcze? To bardzo prawdopodobne. W miarę postępów śledztwa zaczęto w Bejrucie opowiadać o rozmaitych bardzo skomplikowanych sprawach. O wielkiej szajce przemytniczej, o powiązaniach z policją i politykami niektórych krajów arabskich i tak dalej. Lecz — rzecz ciekawa — o ile w pierwszym stadium sprawy, kiedy nie znano jeszcze motywu, a nawet gdy nie znano jeszcze morderców, prasa poświęcała sprawie wiele miejsca — o tyle w stadium następnym

trząc na te stateczki, powiedział:

— O, to jest kontrabanda. Ale choć wszyscy o tym wiedzą, łodzie zawiązały nadal. Co się nimi przewozi?

Głównym utracieniem Interpolu jest tutaj przemyt narkotyków. Haszysz, kokaina, opium, heroína.

Przypatrzmy się klasycznej drodze narkotyku. W Turcji uprawa opium jest dozwolona, jakkolwiek chłopcy zobowiązani są sprzedawać wszystko rządowi. Ale to oczywiście tylko teoria. kilogram surowego, nieprzerobionego opium kosztuje więc w Turcji równowartość 50 dolarów. Stąd szmuglerzy wywożą je do Bejrutu. Tam jest ono oczyszczane, traci dziesięciokrotnie na wadze, zamiast dziesięciu kg jest już tylko jeden kilogram. Ale ten jeden kilogram kosztuje teraz 1500 dolarów, a więc wartość surowego opium potroiła się. Po tej operacji narkotyk jest tzw. surową morfiną. Teraz ten nowy produkt przemycany jest do Francji. W tym kraju istnieją potajemne laboratoria zajmujące się przetwarzaniem surowej morfiny w heroinę. Co roku policja wykrywa przynajmniej jedno takie laboratorium, ale wiadomo, że interes pręży się dalej. We Francji nie ma wielu narkomanów, tak więc większość „produkcji” wędruje dalej. Do Włoch. Tu jeden kilogram heroiny kosztuje 5000 dolarów. Ale jej

dobrej pracy jego agentów, którzy wykrywają mnóstwo afer. Można i tak, ale wybaczyć mi, że ośmieliłem się nie wierzyć szefowi policji, czego w zasadzie nigdy nie należy czynić, chyba, że ten szef jest — jak w tym wypadku — bardzo daleko. Wiadomo, że w Libanie ściga się wprawdzie przemytników, ale nie ściga się producentów narkotyków. Tu znowu szef policji powiada, że produkuje się je wokół góry Hermei, gdzie władza rządu nad miejscowymi plemionami istnieje formalnie. I znowu nie bardzo wierzę.

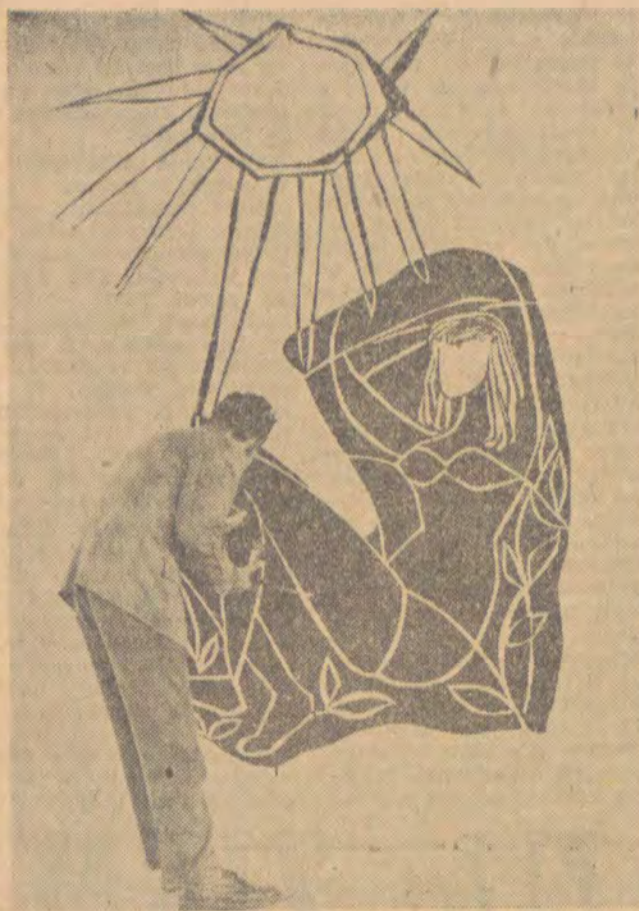
BLONDYNKI I WALUTY

Ale nie tylko diamentami i nie tylko narkotykami zajmują się ludzie pokroju Ghosna. Och, nie tylko. Na przykład w Niemczech i w innych krajach europejskich działa wielu „agentów” teatralnych i różnego rodzaju „lówców talentów”. Ci zaczęli ludzie werbują młode dziewczyny, które chciałyby zabłysnąć na scenie. Dziewczyna nie nie umie, nie może śpiewać i nie potrafi tańczyć? Nie nie szkodzi, oto kontrakt. Zresztą przesada, że pani nie nie umie, zawsze coś tam pani potrafi. Następuje wyjazd do Bejrutu, krótki staż w którymś z licznych kabaretów i — znowu dalej. Do Arabii Saudyjskiej, do Kuweitu, Jemenu, na wyspy Bahrein,

nie handluje z Izraelem, ale Liban — owszem. Jest to publiczną tajemnicą. Handel odbywa się za pośrednictwem portów na Cyprze, w Grecji, w Turcji. Profit z tego płynie niemały.

W sumie trzeba powiedzieć, że zamiast dziennikarzy do Libanu lepiej jest posłać Scherlocka Holmesa, choć wątpliwe czy ten gentleman chciałby tam pojechać za nasze diety. Ja jednak Holmesem nie jestem.

Ale moi znajomi, którzy cmokali kiwając głowami, nie te przecież sprawy mieli na myśli! Muszę więc zameldować, że to nad czym oni kiwali głowami, jest też, a jakże. I to bardzo dużo. Ale nawet nasi marynarze przestrzegali mnie mówiąc, że sami boją się tam chodzić. Dlatego ja teraz muszę z kolei kiwnąć głową i zamoknąć. Ale w innym sensie, w libańskim. W sensie kompletnej negacji. Niczego się ode mnie w tej materii nie dowiecie. Kropka.



WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

prosto ze Związku Radzieckiego i wreszcie ów chwytliwy tytuł, wiążący mitycznego nieco kanonika fromborskiego z supernowoczesną techniką rakietową, gwarantującą wystawie — jeśli nie bezustanny natłok zwiedzających — to w każdym razie uczciwą frekwencję.

Z tym przekonaniem udałem się do gmachu wrocławskiego klubu TPP-R.

Obie sale były, gdy wszedłem, pełno-puste. W jednym kącie kłębiła się bowiem pokazna wycieczka którejś klasy, którejś ze szkół. Dzieci słuchały bez zbytniej uwagi objaśnień całkiem inteligentnego przewodnika; poza tym było idealnie pusto. Przewodnik, jakby nie wierzył, że choć jedno słowo jego trafi do pamięci, lub chociaż wyobraźni młodych słuchaczy, mówił więc tonem beznadziejnym. Trudno się dziwić. Sztuka cierpi, gdy rolę odgrywa się przy pustej widowni. Przez chwilę starałem się obserwować reakcję młodzieży, ale nie było reakcji poza kilkoma uwagami w rodzaju „nie rozumiem”, „jak goraco” i „chodźmy dalej”. Czyżby przesyt informacji o tym, co od za-

Wokół sali, niby fresk, bieżnie długi wąż cyfr, równanie $\Pi=3,14...$ i 300 dalszych cyfr po przecinku. Obliczono ich więcej, jakiś Anglik doszedł coś do siedmiuset, i to bez mózgu elektronowego, ale nie mieszczą się na ścianie. Patrzę na to urzeczony i przerażony. Mój Boże, niewinne „pi”, a tyle miejsca zajmuje. Nie wiem, czy organizatorom wystawy przyświecał cel czysto dydaktyczny, użytkowo-ozdobny, czy wreszcie — że tak powiem — refleksyjny. Czy pragnęli usymbolizować ów jaskrawy rozdźwięk jaki istnieje we współczesnym świecie między skrótem, obiegową monetą życia codziennego, a niezmierzoną treścią kryjącą się za każdym, najbardziej najniższym faktem. Jeśli mieli to w zamyśle — gratuluję, osiągnęli cel. Ten fresk rzeczywiście niepokoi i każe się zastanowić nad ludzką ograniczonością.

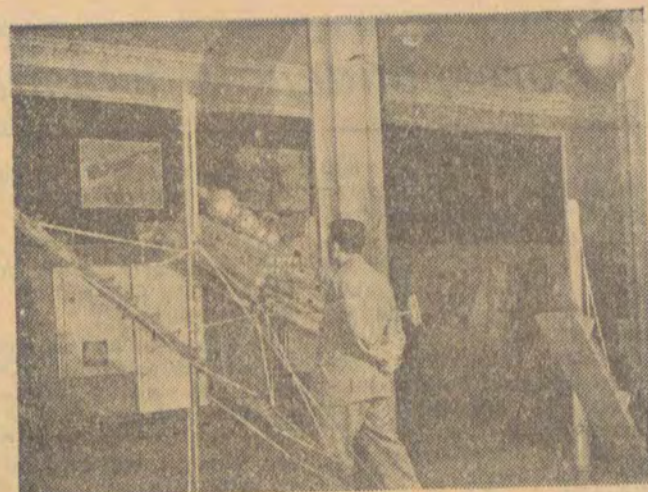
Ale zaraz od tej postawy analitycznej, do której zmusza „pi” — przeskok do syntezy. Stożek, proszę państwa, zwykły stożek przecięty czterema płaszczyznami. Jedna wyznacza koło. Druga elipsę. Trzecia parabolę. Czwarta hiperbolę. Cała geometria w „Przekrojowej” pigułce. Nigdy dotychczas nie byłam tak blisko zrozumienia analityczno-syntetycznego sensu matematyki.

Matematyczne wprawki świetnie wdrażają w atmosferę tej niezwykle wystawy. Ekspozyty, plany, wykresy, fotografie, treściwe opisy informują o wszystkim chyba, co ma związek z jej tytułem. Historia i chemia. Optyka i magnetyzm. Fantazja Vernego i stokroć bardziej fantastyczny ekwipunek kosmicznego pilota. Magiczne liczby predkości kosmicznej, pierwszej i drugiej. Może zresztą jest i trzecia, a nawet czwarta, nie pamiętam. Za dużo do pamiętania. Temu można się albo poddać bez reszty albo szybko uciekać. Podejrzewam, że brak frekwencji jest w tym wypadku samoobroną wyrazem nie tyle zwykłej ludzkiej gnuśności lub braku zainteresowania, co lęku przed stwierdzeniem własnej niemocy.

Dzieciaki dłużej przystają tylko przed wysmukłymi cygarami makiet, obrazujących radzieckie rakiety. Może mają rację? Tu przynajmniej nie trzeba się zastanawiać wystarczy oglądać. Czy ta „ogłotator-ska” postawa jest coraz bardziej charakterystyczna i dla dorosłych? Czy nie świadczy o tym triumfy filmu nad książką, telewizji nad prasą?

Lecz wracamy do ekspozatów. Zaskoczenie budzi część historyczna. Kto by myślał, że już w 1870 roku Evert Hale proponował wyrzucenie sputnika (z cegieł!) ponad jeden z południków dla lepszej orientacji że glarzy? Że Lasswitz w kilka naście lat później marzył o budowie stacji kosmicznej z materiału antygrawitacyjnego? Że wreszcie Chińczycy znali rakietę już w... 1232 roku, sześćset lat przed generałem Bemem, który próbował — ku zdumieniu i niepokojowi swych kolegów — artylerzystów — wprowadzić je do uzbrojenia polskiej armii?

Tę część wystawy, która mówi o rzeczach najważniejszych, o konstrukcji i napędzie rakiet przezornie omijam, naśladowując młodocianych współzawodzących, bawiących się już w chowanego dla zachowania psychicznej równowagi. Pozosta wiam też planse obrazujące kosmiczne niebezpieczeństwa, jakie czyhają na astronautów w postaci dziwnie nazwanych promieni i



Widok ogólny wystawy



Kącik prac Ciolkowskiego

Czy prześnił się sen IKARA?

**REFLEKSJE
NIE OBO-
WIĄZUJĄCE**

Wrocław jest trzecim miastem Polski, które gości wystawę astronautyczną pod figlarnym szyldem „Od Kopernika do Lunika”. Można by się spodziewać, że i sama tematyka wystawy, i ilość pokazanych ekspozatów, przywiezionych w większości

rania ludzkości było jej największym urojeniem, wygasł całkiem zainteresowanie, nim pierwszy człowiek uleciał w przestworze Kosmosu? Czyżby przesnił się już sen o skrzydłach Ikara? Niespokojne refleksje odkładam na później, idę zwiedzać sam.

innych sił nieczystych. Dwa sprzeczne uczucia walczą z sobą o lepsze. Zazdrość wobec wybrańców spośród milionów, którzy polecą tam — i błogi stan bezpieczeństwa, radość z tego naszego zaciśniętego, spokojnego „świata”.

Końcowa plansza takśa-tywnie wylicza praktyczne aparażę, jakie ludzkość mieć będzie bawem ze sztucznych satelitów: świetny odbiór wszystkich radiowych i telewizyjnych stacji świata, precyzyjne prognozy pogody, gwarantowaną kontrolę wybuchów jądrowych, pomiary kształtów Ziemi, zbadanie pogranicza przestrzeni międzyplanetarnej, wreszcie podbój nowych planet w celu zdobycia nowych źródeł surowcowych. Mam wrażenie, że ten ostatni punkt uwzględniono specjalnie dla polskiej edycji wystawy. Ej, szaberek, szaberek... Szkoda, że brak jeszcze zmianiki o „nowych rynkach zbytu”. Ej, handelek, handelek... z Marsjanami. I małe przekonanie z uroczymi mieszkankami Wenus. Dopisać te możliwości a frekwencja na wystawie wzrośnie w trójnasób.

Kasjerka (niestety, Ziemianka) bez entuzjazmu oblicza skąpy przychód, wie-

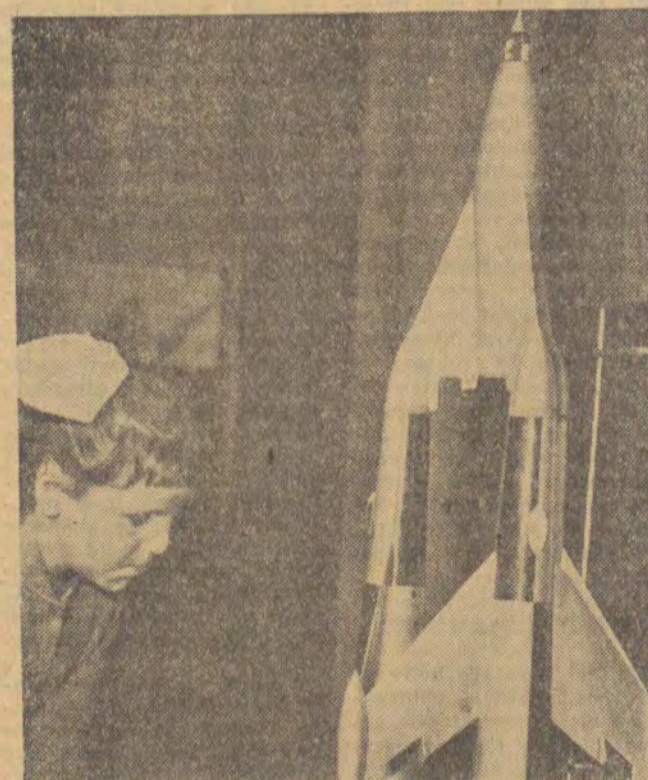
lektownie mniejszy od planowanego. Czyżby fantazja ludzka całkiem już uległa przygaszeniu? Czego to jest objawem? Czy przypadkiem nie symptomem obowiązującej „przeciętnej Polaka” snobistycznej formuły, która dyktuje, co modne: antypowieść Butora, naiwny prymitywizm Nikifora, nalepki hołowe, w tym roku Jastarnia, dowcip Afanasiewa, biust Jayne Mansfield, stan w miejscu naturalnym i setkę innych ćwierć-sensacji, jedna-ósma sensacji, opatrzone nym stemplem: „Kultura”ny człowiek o tym wie”. Planety zbyt wielkie, nie mieszczą się w modelu.

Zaglądam jeszcze do wydanej książki uwag, ratunku ostatecznego: *Wystawa super, szczególnie abstrakcyjnie malowidła na ścianie*. „Wystawa bardzo mi się podobała, najbardziej interesujący jest przewodnik. Studentka” „Bardzo miła kasjerka. Studentka”.

Z czego się ludzie śmieją? Tracę orientację, czy to zamierzona, czy podświadoma ironia. Ironia, czy autoironia? Gdzie jest miejsce dla zgrywy, a gdzie dla marzenia? Gdzie sens, gdzie beczens? Gdzie niebo, gdzie ziemia? Nafiej by w tę jakiegó wejść i lecieć, lecieć, lecieć...



Model głowicy rakiety z zasobnikiem, w którym leciała w Kosmos Lajka



Model rakiety o napędzie jądrowym

MARIAN PIECHAL

KTO PISZE KSIĄŻKI?

Odpowiedź na to pytanie jest pozornie tylko prosta i łatwa. Najbardziej z nich brzmi: książki piszą pisarze, to znaczy ludzie specjalnie utalentowani we władaniu piórem. Ale czy tak jest w rzeczywistości? Czy talent to istotnie tylko sprawność władania piórem, łatwość pisania?

Większość pisarzy na pewno temu zaprzeczy. I słusznie, bo to nie odpowiada prawdzie. Większość pisarzy pisze zazwyczaj z wielkim trudem, a ich sprawność władania piórem z każdym nowym ich pomysłem, tematem, dziełem wcale nie nabiera cech łatwości. Tzw. sprawność pióra raz nabyta i stosowana przez pisarza w każdej okoliczności przetrwała się w maniere, staje się banałem, świadczy o wyjątkowości, a nawet zamieraniu, talentu. Co więcej, pisarze mieni albo zgola bez talentu absolutny brak inwencji, doświadczenia i myśli pokrywają właśnie nabyta mozolnie biegłością pióra, sprawnością rzemiosła literackiego, sztucznością czyli kwiecistością stylu. Jest prawie reguła — i pisarze o tym wiedzą — że tzw. nadmiar stylu pokrywa niedomiar treści, a zbytnia łatwość władania słowem zdradza niedowład głębszego myślenia. Obfitość słów jest synonimem pustki.

No więc — zapyta słusznie zniecierpliwiony czytelnik — jak to jest z tą sprawą pisania książek? Jeżeli piszą je nie ci, którzy najłatwiej i najsprawniej władają piórem, to kto? Ano właśnie w tym sęk! W tym, że żeby być pisarzem z prawdziwego zdarzenia, nie wystarczy tylko samo sprawne i łatwe władanie piórem czyli talent, ale potrzebna jest jeszcze i treść, doświadczenie ludzkie, rozum i uczucie, które żywią talent. Talent to płomień — ale płomień bez palenia gaśnie. Otóż twierdzą, że wśród ludzi piszących łatwiej jest o talent, niż o paliwo. Stąd tak wiele książek zgrabnie czyli z talentem napisanych, ale jałowych czyli nijakich w treści.

Stąd też, a znając indziej, wywodzi się zjawisko grafomanii, która jedni uważają za plagę, inni za objaw raczej normalny, a której poświęćmy wkrótce osobny felieton. Grafoman to właśnie człowiek odczuwający potrzebę pisania, tylko nie wiedzący o czym pisać czyli podchodzący do procedury pisania od wprost przeciwnej strony niż należy. Gdyż nie potrzeba pisania stwarzania pisarza, lecz potrzeba wyrażenia treści, której inaczej nie można zakomunikować bliżnim, jak tylko przez słowo. Nie poszukiwanie treści do słowa, lecz poszukiwanie słowa do treści — jest cechą i znamię prawdziwego pisarza, a młara jego talentu jest odpowiedzialność czyli adekwatność słowa do każdorazowo odmiennej czyli odkrywczej treści. Tzw. siła czy też wielkość talentu to rewelacyjność treści wyrażona proporcjonalnie rewelacyjnym czyli odpowiednim słowem.

Teraz już chyba łatwiej będzie nam odpowiedzieć na pytanie, kto pisze książki?

Ano przede wszystkim ci, co mają coś nowego do powiedzenia. A więc niekoniecznie pisarz tzw. zawodowy. Zawodowość pisarza jest czymś dziwnym i w ogóle nieporozumieniem. Nieraz bowiem zdarza się także żenujące zjawisko, że właśnie pisarz zawodowy nie ma nic do powiedzenia. A za to dużo do powiedzenia ma niepisarz, zwykły człowiek, ale taki, który dużo przeżył, wiele doświadczył, jeszcze więcej przemyślał. I ot, cokolwiek taki powie, jest ciekawe, a jeśli to napisze, nawet nie mając zawodowej wprawy w pisanie, jest jeszcze ciekawsze, a w każdym razie wartościowsze od tego, co jest napisane wprawnie ale nieprawdziwie, bo obojętnie nie przeżyte, nie doświadczone, nie przemyślane. Stąd wielka poczytność dziś i zawsze wszelkiego rodzaju pamiętników, wspomnień, relacji z podróży i rozmów z innymi ludźmi, listów, życiorysów itp., o wiele większa, niż najlepiej nawet napisanych powieści.

Jako przykład chciałbym tu podać niezwykle ciekawą książkę francuskiego pisarza Jean Berand-Villars'a, o słynnym szpiegu angielskim na Bliskim Wschodzie podczas pierwszej wojny światowej pt. „Pułkownik Lawrance czyli poszukiwanie absolutu”, wydana przez Wydawnictwo MON w pięknym przekładzie na polski Jerzego Lisowskiego. Ta książka właśnie jest przykładem, jak autor, nie zawodowy pisarz, stwarza jedno z najbardziej porywających dzieł przez sam wybór ciekawej treści i niezwyklej postaci. Zapomniamy, czytając te książki, jak ona jest napisana, porównani jej treści, dopiero później zdajemy sobie sprawę, że i napisana jest znakomicie, skoro nas tak zajęła. Bo oczywiście sprawa jest jasna, że gdyby napisana była nieudolnie, nie potrafiłaby nam przekazać tak porywającej swej treści. Jej treść ewokowała w tym wypadku odpowiedni czyli adekwatny wyraz, jednym słowem jej artysta i styl.

Na tle dzisiejszych rozgrywek imperialnych państw zachodnich na terenie Bliskiego Wschodu książka ta nabiera szczególnej aktualności. Odsłania wiele zakulisowych tajemnic zachodnich agentur wywiadowczych wśród narodów arabskich, ujawnia mechanikę podboju i sprężyn politycznych interesów wielkich mocarstw oraz sposoby, jakimi one wygrywiają wewnętrzne sprzeczności ideowe i trudności społeczne wyzwalających się ludów kolonialnych.

Kto przeczyta to dzieło, a czyta się je jednym tchem jak najbardziej sensacyjny kryminał, o ile jednak prawdziwsze od kryminału, bo nie zmyślone, lecz oparte na rzeczywistych faktach — ten już nie będzie miał żadnej trudności w jedynie trafnej odpowiedzi na pytanie, kto pisze książki?

Ten, kto ma talent, a talent ma ten, kto ma coś istotnego do powiedzenia. Treść bowiem ewokuje talent. Jeżeli tylko jest paliwo — zawsze znajdzie się płomień.

JERZY WILMAŃSKI



Antykwiariat w pasażu

CZY „SŁOWO” BYŁO ISTOTNIE NA POZĄTKU?

Niezupełnie. Antykwiariat „Słowo” przy ulicy Parkowej, obchodzący za dwa miesiące 15-lecie swego istnienia, nie był „na początku”. Na początku było „Czytaj”. Ale o tym później. „Słowo” początkowo (1945 r.) egzystowało w oficynie domu przy ulicy Piotrkowskiej 60.

Kiedy dzisiaj zaszyć się między pełne książek półki „Słowa”, trudno uwierzyć, że kilkanaście metrów stąd kipi Piotrkowska, że na tarasie „Egzotycznej” młodzież nie wie, co zrobić, co czytać, co słuchać. Bo to przychodzi głównie bibliofil. A bibliofil to znaczy miłośnik książek.

Dla tych prawdziwych miłośników mamy niespodziankę. Otóż podamy kilka pozycji będących dzisiaj ozdobą „Słowa”. Mogą być one również ozdobą bibliotek naszych czytelników.

A więc na wstępie „Dziennik”. „Zdobnictwo książek w twórczości Wyspiańskiego”. „Autor: Przemysław Smolik, rzecz wydana w 1928 roku przez Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi. A oto wydane sześć lat później przez to samo Łódzkie Towarzystwo Bibliofilów „Szkice w sztuce nowoczesnej” Leona Chwistka, Władysława Strzemińskiego i innych. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w pierwszym wydaniu książki wydano w 500, a w drugim w 300 egzemplarzach.

Amatorom dobrej, wartościowej książki podróżniczej pozwalamy sobie przypomnieć wydaną w latach trzydziestych przez Trzaskę, Everta i Michalskiego „Bibliotekę podróżniczą”. W „Słowie” znaleźć można zatem „Na krańcach ziemi” Roy Chapmana Andrewsa, „Ludożerców i poszukiwaczy złota” Edmunda DeMaître i inne pozycje z tej arcyciekawej serii.

Lista książek poszukiwanych jest zresztą ogromna. I trudno byłoby ją w całości przepisać. Gusta i upodobania są poza tym różne.

A propos gustów. Pan Henryk Maszewski gustuje na przykład w exlibrisach. Jego dwu i pół tysięczny zbiór jest jednym z poważniejszych w kraju. Zwraca, że wiele w nim okazów z XVIII i XIX wieku. Również i książek na temat exlibrisów ma ponad 70. To prawie wszystko, co w tym przedmiocie napisano.

STARY CZŁOWIEK I KSIĄŻKI

Obok jest zatłoczona ciuchownia Granowskiej. Ponieważ dzieje mamy upalny, kolejką po łody ciągnie się wzdłuż okien i otwartych drzwi antykwiariatu. Dodajmy — najstarszego antykwiariatu Łodzi.

No cóż, jeżeli sama tylko seria „Biblioteka praw polskich” liczyła grubo ponad 60 pozycji! A seria podobnych wydawano sporo. To właśnie w „Czytaju” łódzki pisarz Władysław Pawlak wydał swą piękną książkę o Łodzi pt. „Kamienica wielkiego miasta”. To w „Czytaju” wydawał nestor polskich dziennikarzy red. Stanisław Chruszczewski. Obecny wojewódzki konserwator przyrody prof. Potęga również u p. Pawlaka wydawał swe przyrodnicze rozprawki.

Tak. Znajdźcie „Czytaj”. Poważna i zasłużona to firma. Już w latach międzywojennych pisano o niej dużo i w superlatywach. Ale p. Kazimierz Pawlak jest skromny i nie chce o tym wspominać.

„No to i co, że pisali!” — mówi i wraca do spraw wydawniczych. A jest do czego. Na przykład taka „Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia” wydana przez „Czytaj” w latach dwudziestych. Świetna, szczerze i głębiście opracowana antologia, eseje, bibliografia. Ech, wydać by i obecnie coś takiego. — Ale cóż, brak inicjatywy. Czy może brak inicjatora?

NA PIOTRKOWSKIEJ INACZEJ

Piotrkowska 133. Antykwiariat Domu Książki. Również działami poukładane książki, regały, kasa. Tutaj czujemy się inaczej. Nie ma tu atmosfery typowego antykwiariatu, raczej nastrojów zwykłej księgarni. Bez ku-

lek. Zbieraczowi ciekawościom zasmieja się oczy. Oto oryginalna książeczka, przebażny dokument ludzkiej głupoty wydany (aż trudno uwierzyć) zaledwie 40 lat temu. Tytuł brzmi: „Siedem raz opieczutowana księga największych tajemnic czyli magiczno-sympatyczny skarb zawierający wypróbowane środki przeciw wielu chorobom i ułomnościom ciała wraz z cudownymi tajemnicami ku osiągnięciu przeróżnych celów”. A o bok pozycja, o której marzy chyba każdy historyk sztuki. Wydane w połowie XIX wieku „Wzory sztuki średniowiecznej z epoki Odrodzenia pod koniec XVII wieku w dawnej Polsce”. Autorzy: Przędziecki i Rastawiecki. Cena, niestety, kosmiczna — 6.000 złotych. Wyciągamy z półki inną niepozorną, cienką książkę. Na okładce napis: „Karol Marks, rewolucja i kontrrewolucja w Niemczech”. Wydano nakładem Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich w Londynie, posłowie — Bolesław Limanowski, rok 1897. Trzymamy zatem w ręku pierwsze wydanie broszury Marksa w języku polskim.

Na innej półce znajdujemy wydaną nakładem Morkowicza pierwszą edycję „Łąki” Leśmiana, dalej „Opis starożytnej Polski” — ciekawe dzieło z początków XIX w.

„I INNI

Trochę trudno mówić o „innych”. Nie padnie tu żaden adres, żadne nazwisko.

Książka na emeryturze czyli antykwareczny prawie baedeker

Bowiem „Czytaj” założył pan Kazimierz Pawlak w roku 1916, a więc równo 44 lata temu. Początkowo (do roku 1920) na Zielonej, potem przeniesiony na Narutowicza, gdzie egzystuje już 40 lat. Nie ma chyba łódzianina, który by nie znalazł antykwiariatu „Czytaj”. Witryny zarzucone książkami z najróżniejszych dziedzin charakteru są w jakiś sposób jego typ. W popularnym „Czytaju” znaleźć bowiem można wszystko. Chemia, przyroda, ekonomia, literatura, prawo, mechanika, fizyka.

Nie znajdziemy czytelniku, jednego tylko. Książki kryminalnej. Sędziwy nestor łódzkich księgarzy nie chce obierać towarem o tak problematycznej wartości. Może i słusznie. Do zakurzonych półek tego antykwiariatu nie pasowałyby kolorowe okładki sensacyjnych książek. Więc sprzedaje pan Pawlak książki poważne, naukowe. Odwiedzają „Czytaj” profesorowie, prawnicy, literaci. Poseł Ajnenkiel zasławnie od czasu do czasu. Dawniej częstym gościem był rektor Chalasinski.

Ale to przecież nie najważniejsze. Ważna, o dużo ważniejsza jest inna karta działalności „Czytaju”. A imię jej „Wydawnictwo Książki Łódzkiej Czytaj”. Tak jest Wydawnictwo, które na przestrzeni lat 1916—1950 wydało setki, ba, może tysiące książek.

Ważne jest jednak myślenie. Chciał antykwiariat „Domu Książki” jest pacholeciem, bo liczy sobie zaledwie 8 lat, ze starszymi „braćmi” w zupełności konkuruje. Zresztą trudno tu mówić o konkurencji w jakimś polocznym sensie. Jeśli „na Piotrkowskiej inaczaj”, to również dlatego, że trochę inne są cele antykwiariatu państwowego. Otóż jest on głównym dostawcą książek dla bibliotek (Waryńskiego, Uniwersyteckiego, biblioteki zakładów naukowych). Prywatnym nabywcą książek oferuje się, jeśli nie zakupiły jej biblioteki, a więc dopiero w drugiej kolejności. Na brak prywatnych odbiorców antykwiariatu jednak nie narzeka. Niedawno kilkusobowa grupa gości zagranicznych zakupiła snoro pozycję z okresu XIX i połowy XX wieku z dziedziny historii, językoznawstwa i prawa polskiego. Podejdźmy do po-

ko. Poza trzema omówionymi powyżej nie ma w Łodzi poważnych antykwiariatów, antykwiariatu, które się liczą. Były co prawda próby otwarcia w Łodzi jeszcze jednego antykwiariatu. Rozbiły się trochę o lokal, trochę o koncesję czy raczej jej wysokość. Młody antykwiariusz ratował się jak umiał — nie pomógł nawet jednak zorganizowany w antykwiariacie punkt totalotia.

W innym znów znanym kiedys świetnym antykwarciu poczesne miejsce zajęły obecnie klipsy i plastikowe krawaty. Nawet staruszek z Zielonego Rynku coraz rzadziej rozkłada na straganie swoje książki.

Nie są to chyba jednak przykłady świadczące o zaniku antykwiariatu w ogóle. Ot, normalne koleje losu ludzi i książek.

Chociaż... kiedy już niepodzielnie zapanują mikrofilmy i magnetofony, czy znajdzie się wówczas wartkim, nerwowym życiu miejsce na uroczą rupieciarnię przeszłości — antykwiariat?

odpisy str. 7

PEWIEN AKTOR

Przypominam, jak ci, co w hożej, uśmiechniętej paninie widzieli szkielet z pierścieniem na kości, był Julian Tuwim. Ale myśl jego, nadal przypominam, jest konwencjonalna i tak użyta, jak rym i asonans. Dla aktora waga i odkrywczość myśli pisarza nie jest jednak, jak przypuszczam, czymś znaczącym. Aktora interesuje tonacja, także wizja, może przede wszystkim wizja. Amerykanie, raz jeszcze przypominam, płakali jak bobry, kiedy Modrzejewska liczyła do polsku do dziesięciu, trudno przypuszczać, że docierała do nich myśl, słyszeli tonację, a ta, podejrzewali, niesie wizję.

Wizja Tuwima jest niekonwencjonalna, byle banalny wierszyk przerywany bywa u niego okrzykiem przeobrażenia, słowa kabaretowej piosenki ociera się nagle o tajemnicę. **Ten wale, ten waleczyk**, słyszymy, i myślimy o ziewających grobach, oto cały Tuwim. **Ten wale, śpiewa Gustaw Lutkiewicz, ten waleczyk**, tonacja jest prosiutka, myśli konwencjonalna, **ten wale, ten waleczyk**, nic więcej, zaduma z łezka, garść wspomnień, banalna melodika, ale nagle zaczynają się działa rzeczy przerażające, **ten wale, ten waleczyk** ociera się o śmierć, gość z kawiarni, o nim to

śpiewa Lutkiewicz, ociera się o śmierć, gościom kabaretu „Poddasze” ciarki zaczynają chodzić po plecach. Zastępcę przysięgiem autowowi, nie tylko jednak temu, tonacja jest, powtarzam, prosiutka. Lutkiewicz komplikuje tonację, jest sentymentalny i zadumany, a przy tym traktuje swoje sentymenty i swoją zadumę z zastanawiającym okrucieństwem, także z ironią, także nasze sentymenty. Lutkiewicz jest przerażony i bawi się swoim przerażeniem, ten wale, jak on to robi, ten waleczyk jest najlepszym numerem drugiego programu kabaretu „Poddasze”.

Niestety, cały program jest, trzeba to powiedzieć, słabutki, pozostali autorzy „Poddasza” ludzie niewątpliwie dowcipni, tolerują nasze sentymenty, pozostawiają nas w spokoju, interesuje ich zbiórka złomu, interesują ich hodowcy nutry i historia. Śmiejmy się więc, Jagiello i Jadwiga w tekturowych koronach są nieodparcie komiczni, trudno także nie zgodzić się z autorami, że bitwa pod Grunwaldem była, z naszego punktu widzenia, czymś na kształt spektaklu operetkowego. Śmiejmy się, nie ma w tym nic złego, trudno to nawet nazwać szarganiem świętości, Jagiello nie wzbudzi naszego współczu-



Kwartet „Chala” śpiewa pieśń „Angola” Od lewej: E. Kamiński, G. Lutkiewicz, L. Wojciechowski i H. Abbe

cia, śmiejmy się, konfeksję na „Poddaszu” prowadzi Andrzej Dołęgowski, nikt nie wie dlaczego, ponieważ teksty są wszakże szczerze zabawne. Machajko, Dobrzyński, i Gluth dysponują tzw. warsztatem, dowcip goni dowcip, szkoda jednak, że autorzy trwonią tyle sił, by obalić mit Grunwaldu czy mit Debiłcha. Lutkiewicza interesuje bardziej mitologia wspomnień, mnie także.

Do naszych czułych wspomnień dobierają się również na „Poddaszu” czterej aktorzy, Abbe i Wojciechowski, Kamiński i Lutkiewicz, tworzący kwartet śpiewaczy „Chala”. Znakomita czwórka nie gardzi parodią i perswflażem, każdy słyszy od nich coś dla siebie, komu leżka, a komu szyderstwo.

Ta „Chala” godna jest pielegnowania, rzadko się zdarza, by aż czterej interesujący aktorzy poświęcali się

na raz celowi tak szczeremu, jak piosenkarstwo. Mają szansę, by stworzyć coś uroczo niepowtarzalnego, żyjemy w dobie zacierania piosenki, ktoś ubóstwia Tommy Stella, ktoś Fogga, ale każdy coś tam nuci, to zobowiązuje. Do protestu, oczywiście. Polskie Radio, które, o ile się orientuję, jest wysokim protektorem „Poddasza”, przypomnia mi węza, pożerającego swój ogon, pielegnuje „Chalę” i chalę. Proponuję, by kwartet „Chala” śpiewał w Radio przed lub po występach naszych wstrząsających piosenkarzy profesjonalnych, niech wąż pożre swój ogon. Wiemy, słuchacze będą protestować, nie kpił się bezkarnie z Fogga. Nie wypada kpić także z Halamy, mimo wszystko, oceniamy ją wysoko, co za nogi! Na „Poddaszu” kpią z Halamy, wychodzą więc odrobnie zasmuceni, nikt wszakże nie wnosł zażaleń, Jagiello był

naprawdę bardzo śmieszny. Nagle pretensje, gdzie są girlsy? Girls nie było. „Poddasze” to kabaret literacki. Innych pretensji nie ma, do tradycji kabaretu należy rozweselenie gości, usypianie gości, zaspokajanie i uspokajanie gości, także bujanie gości, wszystko dla gości. Nasz klient, nasz pan, być klientem Lutkiewicza, to niezbyt przyjemne, Lutkiewicz nie pozwala zasnąć, nie rozwesela i nie uspokaja, Lutkiewicz przeraża. Nic po nim w kabarecie, straszny gość, powinien grać w Szekspira, oczywiście, Rozenkranca i Gildensterna. Obie role.

★

Kabaret „Poddasze”: „Dziś jubileusz”. Kierownictwo — Irena Fenigsen, kierownictwo muzyczne — Tadeusz Dobrzyński.

Baronowa Anna Wolkoff

(Dokończenie ze str. 4)

dzie amerykańskiej w Moskwie, a latem 1939 roku przeniesiony został do ambasady USA w Londynie w charakterze szefa działu szefów.

Kent był zaciętym wrogiem wojny. Podczas pobytu w Londynie jawnie sympatyzował z tymi ugrupowaniami angielskimi, które pragnęły odwrócić widmo wojny od wysp brytyjskich. Ale nie odróżniał intencji tych grup. Interesował się mowcami z Hyde Parku, słuchając ich zacietrzewionych oracji o pokoju i „winowajcach” wojny: masonach i Żydach. Odwiedzał zebrania angielskich faszystów spod znaku Mosleya, wszechwładny w dusze i umyśle londyńczyków jad faszystowski i antysemitki. I oto ten wykształcony Amerykanin, nie znający jeszcze dobrze życia, dość szybko stał się sympatykiem Towarzystwa Angielsko-Niemieckiego, organizacji, do której należało wielu wpływowych Anglików, a która w gruncie rzeczy była niczym innym jak V-kolumną hitlerowskich Niemiec.

ROMANS TRWA

Ona — lat 37, on — lat 24, Ona — przebiegła, niewątpliwie inteligentna, bardzo przystojna, wytworna i elegancka, o świetnej aparaturze i prezencji, dostatecznie wyrafinowana, by omotać młodego człowieka.

On — egzaltowany, wybuchowy, nie otrzaskany jeszcze dostatecznie z życiem, ulegający porywom pierwszej naiwności.

On ją nawet kochał. Szczęście i prawdziwie. Ona od pierwszej chwili widziała w nim miłego partnera intymnych wieczorów i przede wszystkim doskonale narzędzie dla swej szpiegowskiej roboty.

Zakochany po uszy w pięknej baronowej stał się jej najintymniejszym powiernikiem. Człowiek kochałki wzrastał. Uczyla go miłości. Uczyla go życia. A jednocześnie mówiła mu: „Jeśli mógłbyś uzyskać jakieś dane o tajemnych spisach, będących zakulisowymi inicjatywami w anglosko-amerykańskich stosunkach, mógłbyś wówczas wydatnie przyczynić się do zakończenia wojny między dwoma spokrewnionymi narodami: anglosami i Niemcami.

— Przecież jesteś wrogiem wojny, kochany, — szepiała, okrywając go pocałunkami.

— Wszystko zrobię dla Ciebie, Anno...

...Mijały miesiące. Trwała idylla. Kent uważał się za najszczęśliwszego. Ale nazistowski aparat szpiegowski czujnie obserwował romans baronowej. Zbliżał się czas realizacji obietnic zakochanego dyplomaty...

Ale o tym w następnym numerze.



LEOPOLD BECK

CYRK PRZYJECHAŁ

O cyrku zupełnie na serio

Do Łodzi zawitał cyrk. Idź i zobacz, kto żyje! Czechosłowacy, Niemcy, Rumuni, węgierscy i — oczywiście — polscy artyści, istna międzynarodówka areny. Zobaczyć numery dotad u nas nie widziane. Program — wycyzynowy.

A jaki inny może być program cyrku, jeśli nie wycyzynowy? Bywają rozmaite. W zależności od tego, CO DOMINUJE w pokazach.

Nowoczesny cyrk powstał w formie towarzystw jeździeckich, podróżujących po świecie. Wychodzącymi atrakcjami były wówczas — pokazy tresury koni, wyższej szkoły jazdy i akrobacji na koniach. Piękna woltżerka i szalony jeździec — oto bo-

haterowie owych czasów cyrkowych.

W miarę rozwoju przemysłu rozrywkowego „cyrk koni” przegarnął — dla urozmaicenia pokazów hippicznych — wędrownych kuglarzy, których sztuka wywodziła się ze szneczek, Arlekin, Pantaloni i Pierrot, nim jarmarczyny i muzykanci, stójkarz, skoczek i s'łacz, człowiek — gumna, programowa, akrobata, iluzjonista, urozmaicał program jeździecki. Z biegiem czasu MARGINES TEN STAŁ SIĘ SPRAWĄ GŁÓWNA CYRKU. Na arenie, która jeszcze dziś — w języku z koniskich czasów — nazywa się manieżem, hippika nie panowała absolutnie. Najpierw musiała się zedrzeć na autonomiczność, później na hegemonię in-

nych sztuk cyrkowych. Powstał cyrk UNIWERSALNY.

Wysilił się na periodyzację długiej, bo sięgającej chyba trzech tysięcy lat, historii cyrku. Okres nowoczesny zaczyna się, według naszego rozumowania, od momentu przekształcenia się towarzystw jeździeckich w cyrk uniwersalny — pod namiotem w wędrownie, ale ze stałym miejscem pobytu w murowanym budynku, w cyrku zimowym. (W Polsce takiego jeszcze nie ma, ale mówią, że Warszawa go sobie zafunduje).

Ten okres nowoczesny — to również rozwój kilku pokoleń specjalistów, rodzin i dynastii cyrkowych. A co się zmienia na arenie? Raz dominuje tam tresura dzikich zwierząt, innym ra-

zem... — Powoli, pozostawiamy przy bestach.

Centralną figurą maneżu jest POGROMCA, romantyczny bohater w mundurze huzarskim lub jego rodzona siostra, pogromczyni, narażająca życie w akcie poskromienia króla dzungli (orkiestra nagle zamilkła, akompaniamentem do ryku bestii jest tylko głuchy wərbeli). W innym znów podokresie grozę tresury zastępowała jej PARODIA: Durow pokazywał skecze i blackouty występujące z najdziwniejszymi zwierzętami, do gęsi włącznie.

Cyrk rozrósł się do przedsiębiorstwa o okazałym kapitale obrotowym i stałym (budynki letni i zimowy, egzotyczne zwierzęta, konie czystej krwi). Największe przedsiębiorstwa stały się instytucjami, rzeki byś, wielobranżowymi, prawie trustami (Barnum, U.S.A.). Jednoczyły niekiedy — w jednym miejscu postoju — sam cyrk (bywało, że o trzech arenach pod jednym namiotem), lunapark z karnizami i strzelnicami, oddzielny zwierzyńiec, „show” czyli rewie kolorowych ludzi oraz dzwolażów ludzkich, restauracje, bufety. Centrum tego wędrownego miasta był cyrk.

Takie potężne przedsiębiorstwa wymagały coraz to większych atrakcji i coraz oryginalniejszych INDYWIDUALNOŚCI. Pamiętam, kiedy NA ARENIE DOMINOWAŁ MUSICCLOWN, czasy Grocka, Fratellini, Rivelso, Wszystko inne, co było w programie, chociaż dobre lub nawet znakomite w swoim rodzaju, kreciło się dookoła tej osi. Mistrz nad mistrze zonglerki, RAST — „LI, przyjeżdżał tłumy widzów we wszystkich krajach. Co się w programie przed tego występem działo i po nim, bawiło publiczność. Rastelli ja oczarowywał. Powstała MODA NA PROGRAMY ZONGLERSKIE, z solistami na tle niby chóru, zespołu zonglerskiego.

Wreszcie, wraz z rozwojem techniki i sportu, zaczął w programach coraz bardziej dominować WYCZYN na spręcie lub za pomocą sprzętu jak — obok starożytnej liny, drażka, trampoliny — na przykład rower, a przede wszystkim RUCHOMY TRAPEZ. Salto mortale na wysokości kilkunastu metrów nad areną, sensacyjny akt powietrzny, był przez dłuższy czas największą atrakcją programu. Zaplanowała go nitwa za REKORDEM AKROBATYCZNYM. Co trudniejsze i niebezpieczniejsze, to lepsze. Rozwój techniki umożliwiał budowę coraz to wymyślniejszego sprzętu dla specjalistycznych numerów. Na maneżu, gdzie kiedyś panował koń, zawarował MOTOR.

Oto pokrótce i pobieżnie wyliczone możliwości montowania programu cyrkowego, jeśli chodzi o wybór jego dominanty. Niektó-

re dyrekcje szły i idą po linii najmniejszego oporu, wybierając z każdej tradycyjnej dziedziny jeden numer, tak że w programie jest wszystko. Nie ma tylko gradacji, tempa i emocji. Jest tradycja.

Inaczej program Międzynarodowego Cyrku „Poznań”. Tu zdecydowano się na DOMINANTĘ WYCZYNOWĄ, czyli że głównym tematem przedstawienia jest wszelka forma akrobatyki. Na arenie i w powietrzu. W tej dziedzinie widzimy nie tyle co, bo aż dwa znakomite zespoły: trójkę Casian z Rumunii w zupełnie nowym dla Polski powietrznym „numerie motorowym” i s'ódemkę Lukaców z Węgier na ruchomych trampolinach. Drobniag: po salcie w tył czwarty z tych fantastycznych Lukaców ląduje nogami na szczycie ludzkiej piramidy, składającej się z trzech „untermannów” (z których dwaj w ten sam sposób przybyli na ramiona partnera). Ten czwarty również salto z lądowaniem na ramionach partnera — mając przy tym pięcioletnie Lucasiatko na barach. Temat wycyzynowy składa się nie tylko z pokazów gościnnie występujących artystów, czyli jeszcze grupy Niemcecz z Czechosłowacji, akrobatów na ruchomych masztach i grupy Popescu z Rumunii w grach fiaryjskich. Należą do niego również popisy na trapezie Lucyny Jezerskiej i chyba piękna dla oka jazda na wódkach pary Złna Graszewicz i H. Langzyk. Oto poszczególne fazy głównego tematu.

Czechosłowacka para Landa, to świetni ekscytricyzy muzycalni, jak się to nazywa po cyrkowemu. Wstępując później z parodią piosenek amerykańskich, artyści czechosłowaccy zbierali, chociaż numer jest za długi, nie mniej oklasków niż rumuńscy, czy węgierscy wycyzynowcy.

Nie sposób omówić wszystkich ubocznych nurtów programu, tym bardziej, że w wypadkach produkcji słownych w ogóle nie ma o czym mówić. Nie jest to winą artystów, lecz głębokiego nieporozumienia w ocenie tekstów przydatnych do wykonania na maneżu, gdzie aktor nie stoi frontem do widza, lecz jest przez widzów otoczony. Pomysł numerów słownych, które słyszełbym, wymagają „frontalnego” — kabaretowego — wykonania. Tak samo — zdaje mi się — jak produkcja Recha z NRK. Jest ona nieco fidesleciowa i zapewne raczej sceniczna (variete) niż cyrkowa.

Wiele nie sposób o wszystkim. Ale, na zakończenie, tylko o jeszcze jednym numerze, wykonanym przez młodzieńców zonglerów polskich, absolwentów naszego studium cyrkowego — (tak, coś takiego istnieje i jest wzorem dla innych krajów) — a uchen ów mistrza Froniego: Piękna robota!



WIESŁAW JAŁDZYŃSKI OKOLICA starszego KOLEGI

Po drugiej stronie wzgórza
dynek Liceum im. St. Żeromskiego, wystawiony w pierw-
szej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znaj-
duje się tablica z portretami trzech słynnych uczniów

Na stacji pani Stabińskiej

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczają wiele znakomitości, m. in. Stefan Żeromski i ówczesny premier Sławoj Składkowski.

Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców.

Dwóch wybitnych arystokratów — Książę i Buczaćki odbyło krwawy pojedynk na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczaćki został publicznie ośmieszony.

Za namową Buczaćkiego plutonowy Kwiatek, który również pała nienawiścią do młodzieży, aresztuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szaleństwa. Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki policyjne... Jednakże plany Buczaćkiego spaliły na panewce, ponieważ z opresji wyratował wszystkich Lutowiecki, syn wicewojewody.

W czasie zawodów narciarskich Buczaćki dopuszcza się nowej intrygi. Dzięki „współpracy” najlepszych uczennicy w mieście Porajownicy, ekipa humanistów zostaje pozbawiona I miejsca.

A teraz odkrywamy życie prywatne naszych bohaterów na stacji u pani Stabińskiej.

Tracz, Dzik i Malinka podzieli swój pozaszkolny żywot u pani Stabińskiej w małym pokoiku na pięterku, w głębi wąskiego podwórza, albo jeśli użyć adresu oficjalnego na stacji, zatwierdzonej przez władze szkolne.

W kamienicy frontowej, na parterze, mieściły się sklepiki żydowskie, całe piętro zajmował pan mecenas Bein. Wzdłuż podwórza ciągnęła się długa, drewniana oficyna. Na dole — rzad komórek, na pięterku — mieszkania właścicieli ekienów i stacji. Z okien pokoiku, który zajmowali trzej przyjaciele widać było tył sąsiedniej kamienicy, ceglasty, pozabawiony okien. Podwórce zamykał niewysoki mur, rozdzielony żelazną furtką, prowadzącą do starannie utrzymanego ogrodu pana Beina.

Stacja pani Stabińskiej nie przynosiła dochodu, owszem, narażała właścicielkę na straty. Stabcia, samotna jak palec wdowa po urzęd-

niku kolejowym, już trzeci rok z kolei wynajmowała pokój „skubentom” i właściwie zaraz po kilku miesiącach uswiadomiła sobie, że ta droga nigdy się nie wzbogaci. Spośród trzech „skubentów” jeden tylko Malinka płacił jako tako za czynsz, wikt, opierunek, przeważnie w naturze, po żniwach, zaraz na początku roku szkolnego, nie brakowało w kuchni pani Stabińskiej — jajek, kaszy, maki, słoniny, masła, grochu, fasoli, ziemniaków i wszelkiego innego dobra. W miarę jednak jak upływał czas znikało najpierw masło, potem słonina, groch, jajka. Zimą całe menu licealistów sprowadzało się do ziemniaków i razowej maki, które spożywali pod kilkumasztu potęciami — płynów, ciast stałych i „kamelin”, jak nazywała trójka przyjaciół sucharki z pieca pani Stabińskiej.

Natalia Stabińska nie zamierzała w życiu doczesnym doczekać się bogactwa, pragnęła natomiast w tym życiu matkować, otaczać opieką, kłaskać dzieci do łóżka, sprawić, żeby każdy wieczór czy są czyste, czy ubrania leżą na swoim miejscu, czy buty wypucowane do blasku, doglądać uszu, dbać, by brud nie zostawał na noc pod paznokciami. Rolę jednego dziecka wypełniał jak mógł i póki żył jej mąż, pracownik kolejowy, a ściślej mówiąc — młodszy kasjer. Jak wyglądało jego życie — sądzić trudno. Z pewnością jednak zdejmował natychmiast po powrocie z pracy buty i kładł je na progu mieszkania, żeby brudu nie nanieść, z pewnością oświecał bielizną, kładł każdą rzecz na „swoim miejscu”, sprzątał nieustannie po sobie, znosił meki leczenia, jeżeli zdarzyło mu się przeziębienie, czy chociażby tylko kaszlać. „Pies na porządek” — mawiali o Stabińskiej licealiści.

Stabińskiej umarł nagle. W momencie jego śmierci zerwały się gołębie z całej okolicy i wystrzeliły w błękit. Być może chciały zanieść kłucznikowi niebios jego czystą duszę. Tak przy najmniej utrzymywała pani Stabcia. Każdego roku, każdego dnia, legenda o jej mężu rosła, nabierała takiego mnóstwa szczegółów, że z cza-

sem starczyło ich na kilku mężów. Jedno wszakże pozostawało niezmiennie — oświadczył Walentego Stabińskiego.

W pamięci właścicielki stacji pojawiał się zawsze za lekką mgiełką, za tłem przejrzyście jak pajęczyna, Walenty w zgrabnym mundurze kolejarzskim, do którego miał etatowe prawo. Podkreślał wąsa, stuknął obcasami, salutował i kusił.

Panno Natko, Nastusiu kochana, toż to dziś Noc Świętojańska, pójdzijmy kwiatu paproci szukać!

I tak to było. Na okolicznych wzgórzach — na Kadzieln, Peich Górach i Wietrzni zapalali zohierze wielkie ognie, niżej w głębokim cieniu znajdowali zakochani kwiat paproci. Grały orkiestry wojskowe, muzyka leciała przez miasto, walcze stare, walcze młode, świat kręcił się wtedy naprawdę wokół księżycy, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy... Stabcia wirowała przez chwilę po kuchni, przystawała nagle, cichła, w jej oczach błysnęły już i wypęły, pojawiały się łzy. W takich chwilach trzej „skubenci” całowali jej ręce, pocieszała, cytowali z pamięci napisy z cmentarnych nagrobków.

Non omnis moriar, jak Boga jednego najszybciej kocham, pani Stabińska!

Ale żebym ja był trup, nie wierzę — bo to kłam, żywie duch! Słowo daję, że tak jest, pani Stabińska, ja się na tym znam!

Dzik deklamował następnie swoje najbardziej liryczne wiersze, Tracz siedział na małym stołeczku pod piecem i grał na organkach walcze z czasów młodości pani Stabińskiej — „Na huśtawce”, „Na sopkach Manduril”, błogosławiąc w duchu pijaka-organistę, którego kłócił w wielkim kościółku w zamian za lekcje muzyki na instrumentach podwórzowych. Pogrzebowy nastrój zmienił powoli tonację, był najpierw jeszcze smutny, potem smutny i łagodny, liryczny, liryczny i uśmiechnięty, aż się zupełnie wypogadzał w słońcu, które z wielkim zapalem świeciło w wierszach Dzik, aż się pani Stabcia uśmiechnęła do zwierzątek, którymi wędrowni poeta zaludniał swoje utwory.

— No, panowie, posprzątajcie po sobie. Panie Dzik, mógłby pan z przeproszeniem podcierać się uważnie, jak ja mam pracować na niewymowne? Tu się wiesz marynarce, panie Malinka? Tu? Gdzie pana tak nauczyli? Niech no Tracz spróbuje przynieść do domu jeszcze jedną piatkę na dwóch nogach z matematyki — pani Stabińska powracała do normy. Miała trzech synów.

Rzecz prosta, poezja i muzyka nie mogły zaspokoić materialnych potrzeb stancji, gdzie zimą nazywano przednówkiem. Nie wystarczyło „wałówki” ojca Malinki, nie wystarczała czasem wdowa renta. W krytycznych chwilach zwracała się Stabcia do mecenasa Beina po pożyczkę, na biednych „skubentów”. Wartość tych pożyczek przewyższała z czasem realny majątek, jaki posiadali trzej licealiści. Bein wpisywał systematycznie dług do specjalnej książyki, żądał za każdym razem pokwitowania, obciążając siebie, że będą mu te zaslugi na polu popierania oświecenia publicznego policzone w niebie, na sądzie ostatecznym, gdzie przedstawi książykę i kwity. Bein tylko w młodości i wieku średnim zajmował się otaczającym go światem. Zrobił „straszne pieniądze” na rozmaitych procesach. Na starość wydawał je chętnie pro bono publico, wspierał rozmaite instytucje dobroczynne, torując sobie w ten sposób drogę do nieba.

W kilka dni po wielkich zawodach narciarskich i strzeleckich zebrał się u Stabińskiej najpoważniejsi przedstawiciele ogólnoklasowej opinii. Wieczór był mroźny, oszronione drzewa przypominały, białe i kwieciste sady wiosenne.

— Co tu taka Grenlandia, zdechnąć można z zimna!

Książę rozcierał kościaste ręce.

— Gorące serca zwalczą mroź — odpowiedział Dzik sloganem z afiszy, którymi oblepiono właśnie miasto.

— Ooo, co ja widzę — zdziwił się Miazga — nowa kanapa! Jak! Boga kocham, mają nową kanapę. Ciekawe komu zginęła?

— Wypożyczona od Beina na wieczne nieoddanie!

Historia kanapy mecenas Beina nabrała z czasem wagi dokumentu, bez którego w żaden sposób obejść się nie mogły dzieje stacji pani Stabińskiej.

Jeszcze przed pierwszymi mrozami poprosił mecenas Stabcie, aby zechciała mu posprzątać mieszkanie. Ale wdowa czuła się akurat kłopotliwa, wyręczyła się więc swoimi lokatorami, których przeskoczyła błyskawicznie w trudnej sztuce zamiatacia, trzepania i froterowania.

Trzech sprzątaczy, uzbrojonych w szczotkę, ścierki i kubał z wodą, wystrojonych

w stare fartuchy pani Stabińskiej, wzięło się z wielkim rozmachem do wielkich porządków. Bein w ostatnim z pięciu pokoi studiował pilnie dzieło poświęcone wykopaliskom na terenie Egiptu. U schyłku życia interesowały go głównie tajemnice ziemi. Zgodnie z racjonalnym podziałem pracy, Tracz zamyślał podłogi, Malinka froterował je, a Dzik ścierał kurze „na mokro”. W pewnym momencie dostrzegł poeta liryczny nowiułką kanapę. Ten miękki mebel, zachwycający pyszną czerwienią, wprowadził go w stan oszołomienia. Dzik sygnął z Traczem w wąskim, trzęszącym łóżku, „na waleta”. Tracz był długi, podstawał więc co noc poecie brudne nogi pod sam nos. Poeta, człowiek wrażliwy z racji swego powołania, nie mógł się w żaden sposób zrewanżować koledze. Jego krótkie nogi, równie brudne, ścierały koledze zaledwie do pierśsi.

Zawołał szeptem Malinkę. — Bycza kanapka, co? — Masz jakiś pomysł? —

Malinka czytał w myślach poety.

— Uda się, nie uda, próbować można, nie?

Dzik wybiegł na podwórko. Tracz i Malinka z minami aniołków pracowali spokojnie. Kiedy poeta wrócił, Tracz odezwał się do mecenas Beina.

— Współczuję panu mecenasowi.

— Dziękuję, dziękuję, masz dobre serce, ale... właściwie czego mi współczujesz?

— Kanapy.

— Kanapy? A dlaczego kanapy?

— Zawsze to kłopot, panie mecenasie.

— Kłopot? Jaki kłopot?

— No ten, że ja robaki gryzam, pan mecenas obrze wie, tylko tak udaje.

Mimo wieku i tuszy, Bein skoczył raz do strony niebezpiecznego mebla. Gromadka pluskwów, wypożyczona przez Dzikę od sąsiada pani Stabińskiej, rozlała się imponująco po kanapie. Bein schwylił się za głowę.

— Co to jest? Co to za straszne insekta?

— Wyjątkowo przykre bydlaki i trudne do wytopienia — objaśnił skwapliwie Tracz — a mnożą się, że szkoda gadać!

— Musieli panu mecenasowi sprzedać tego grata razem z lokatorami — Dzik opuszczył głowę ze smutkiem.

— Nie chce pana mecenas martwić — Malinka uzupełnił kolegów — ale w naszej wsi takie robaczki, takie samiusienki, jakbym je widział, zagryzły jedno dziecko, panie mecenasie. Marysia jej było.

— Prawdziwa peryklitacja — jęczał zrozpaczony Bein — one mi gotowe resorbować całą krew!

— A gotowe, zupełnie gotowe absorbować, pan ma

szuszną rację, panie mecenasie — potakiwali zgodnie trzej sprzątacze.

— Co robić, panowie, studenci, co robić? Przecież tu tu grozi zupełna wżwisepultura!

— Czego się dla pana mecenas nie robi! Zabierzemy grata, postoi sobie przez zimę na strychu, robaczki odwalą kitę na mrozie, a na wiosnę wstawię się panu mecenasowi kanapkę i klawo jest. Przy nas pan mecenas nie zginie!

Pocziwemu Beinowi zabrakło słów podzięk.

— Wynieść panowie tego grata... spalić, lokatorów spalić, zniszczyć wszystko, siekierą te robaki... dokonalsze prawdziwej wiwifikacji?

— Ze co, panie mecenasie?

— Wiwifikacji, czyli władania życia na powrót. Władania we mnie, panowie studenci.

— Władaliśmy, jak umieliśmy wyfukować bardzo nam przyjemnie panie mecenasie. Tej nocy poeta z Węgrszyna, specjalnie wymyty i ogolony, zasnął po raz pierwszy w życiu na miękkich elastycznych sprężynach.

— Osiemnaście lat czekam na taką noc! — Dzik zakończył historię kanapy pana mecenas Beina.

Gruchnął śmiech, pomieszany z brawami. Stabcie, która krzątała się w kuchni przy piecu, ogarnęła gwałtowną, niecierpliwą ciekawość! Uśmiechnięta przysmyliła nie pojawiła się w pokoju, proponując gorącą herbatę. Propozycję przyjęto entuzjastycznie.

— A czegoż to panowie tak się śmieją? — Stabcia przestępowała z nogi na nogę. Chłopcy odpowiedzieli jednak wymijająco.

Na rozgrzewkę śmiejemy się, żeby się nie nudziło, młodym się jest.

Stabcia wyczuła intuicję, że tym razem czegoś się nie dowie, i nagle zdjęła ją złość.

Panie Chorwat, coż to za nieprzyzwoite plamy na pana spodniach. Buty są po to, żeby je czyścić — rzuciła zjadliwie w stronę Miazgi, który — jak zwykle — zapomniał o śniegu przyklejonym do podeszew — jak szanowny pan Justyn nie chce mieć podkrążonych oczu, niech bierze wieczorem zimny przysnec, a pan socjalista mógłby wreszcie zmniejszyć koszule, rzupe, można siać na kołnierzyku. Czemu się Książę garbi, kiedy nie ma guzika przy marynarce, a Dzik mógłby się śmiać spokojnie, gdyby nie obgryzał paznokci. Tracz też nie powinien rozwałać się na krześle, tu nie karcza, tylko przyzwolta stancja — nasyciłszy jednym tchem swoją złośliwość, Stabcia pomknęła do kuchni trzasnawsz drzwiami. Przysunęła sobie mały stołeczek do drzwi i zastępiła z uchem przyłożonym do dziurki od klucza.

d. c. n.



„Kobra” trochę inaczej

Kolejna „Kobra” nadana przed tygodniem z Warszawy, a oparta tym razem na jednym z opowiadań Conan Doyle’a — różna była od poprzednich.

Przed wszystkim — jeżeli śmieliśmy się w trakcie spektaklu, to nie z naiwności scenarzysty, czy z tajemniczych min robionych przez wykonawców, a z momentów o charakterze groteskowym, tkwiących w samym widowisku, wprowadzonym do niego świadomie przez spółkę reżyserską Józefa Słotwińskiego — Jan Burek, „Kobieta” była bowiem widowiskiem sensacyjnym, wprawdzie, ale pomyślanym naprawdę z przymrużeniem oka, naprawdę z odejściem w stronę grotesku, w której celował Wiesław Michnikowski — przedstawiciel jednego z „rodów panujących”.

Sherlock Holmes grany przez Stanisława Jaskiewicza był sympatycznym, grubawym, rozumiałym (nie pozbawionym wszelako pewnej bystrości), dr Watson — nieco nadeptym — dumnie, książę „jakś tam” — durniem nadętym do ostatniości.

Realizatorzy z dużą celnością wykryli w obrazie starej Anglii pokazywane przez Conan Doyle’a momenty prawdziwie groteskowe, wypunktowali je, wyciągnęli na plan pierwszy tworząc widowisko zapewne dla „Kobry” nietypowe, ale strasne i przyjemne.

Tym razem telewizor wyłączałyśmy bez grymasów i narzekania.

Dobrze o „Złotej karocy”

Na telewizyjną inscenizację „Złotej karocy” Leonida Leonowa, jaką od dłuższego już czasu przygotowywało Studio Łódzkie, oczekiwaliśmy z dużą niecierpliwością — trzeba to uczciwie przyznać — było za co czekać.

Sama sztuka jest naprawdę interesująca, jedna z najciekawszych wśród produkcji radzieckiej ostatnich lat, adaptacja telewizyjna Władysława Orłowskiego — celna i precyzyjna, praca reżyserska Jerzego Antczaka — bez zarzutu, strona operatorka — na (tradycyjnym już przy tego rodzaju widowiskach nadawanych ze Studio Łódzkiego) wysokim poziomie, obsada aktorska — starannie dobrana i rzeczywiście chyba najlepsza, na jaką nas stać.

Barbara Rachwalska, Bohdana Majda, Wanda Chwiałkowska, Feliks Żukowski, Janusz Kłosiński, Seweryn Butrym, Igo Machowski, Mi-



chał Pawlicki (za zgodą lekarza wziął udział w spektaklu, mimo, że niedyspozycja głosowa tego utalentowanego aktora zmusiła Teatr Nowy do zawieszenia „Hamleta”), Edward Wichura czy Bogdan Bayer w małych epizodach — wszyscy oni utrafił w klimat sztuki, stworzyli postacie oddające jakąś głębią, zapęchem psychologicznym i pełnią życia.

Kapitałny był Igo Machowski jako stary, sterany życiem fakir — miał sceny wstrząsające, choć narysowane doprawdy cieniutką kreseczką. I sztuki robił — myśł wyczarował, ręką nożem przebił, kwił wyrósł mu w butonierce... W cyrku, powiedzmy, rzecz to wcale zwyczajna, ale na scenie, ale w telewizji...

I Feliks Żukowski miał

gest, ciekawą rolę i Pawlicki był dobry choć ten grymas ust, to skrzywienie, tak widoczne przy najazdach kamery, zdać się mogło nieco przesadnie. Bohdana Majda miała kilka smakowitych „zagrywek”, ciepło, wśród zapatrzenia w siebie i w przeszłość, przeprowadziła swoją rolę Barbara Rachwalska.

O samej sztuce trudniej jakoś pisać — nie teatr to przecież, w którym spektakl idzie raz za razem, a spróbowany recenzją widza łatwo może skonfrontować swoje odczucia z opinią piszącego. Nie włączyłeś telewizora nie było cię w domu — trudno, przepadło, widwisko nie wróci.

Choć może — wróci właściwie? Można by je powtórzyć, bo udane jest bez wątpienia, ale to chyba z jesienią dopiero, gdy sezon ogórkowy przeminie. Wreszcie — dokonany został (w Warszawie) zapis spektaklu na telerecordingu. Jeżeli się udał, będziemy mieli „Złotą karocę” na trwałe, uchwytne materialnie, a nie tylko zawieszoną gdzieś we wdzięcznej pamięci widzów.

Tak czy owak — ciekawa to sztuka, z Cechowa coś w niej jest, jakieś zapatrzenie, jakaś zadurna nadłosa mi ludzi zdruzgotanych wojną, i nie tylko wojną. Coś się zdarzyło, nie zdarzyło się nic, nie można wyrównać rachunków, trzeba odejść, żyć trzeba, tak samo żyć, choć właściwie inaczej...

I w ten klimacik, w ten ton cichy i przyciszony jakby, celnie utrafił Jerzy Antczak. Zrobił spektakl wyrazisty i przejmujący — zartowaliśmy kiedyś, że Łódzki Ośrodek Telewizyjny odgrąża się „Złotą karocą”, lecz choć zartowaliśmy tylko, znalazło to pełne pokrycie.

(JP)

„Złota karoca” w przekładzie Pawła Hertza i adaptacji telewizyjnej Władysława Orłowskiego nadana była w piątek 17 bm. ze studia łódzkiego w programie ogólnopolskim.



Goście w Łodzi



Dużej miary wydarzeniem w łódzkim życiu kulturalnym była wizyta w naszym

mieście dyrygenta światowej sławy, Georges Sebastiana.

Gościli w Łodzi również — jak nam każę wierzyć reklama — „ulubienicy Paryża” murzyński zespół estradowy THE DELTA RYTHM BOYS oraz egzotyczna pieśniarka MTSOU FONTAINE.

Poza tym od kilku tygodni bawi w Łodzi znana aktorka filmowa Lucyna Winnicka („Pociąg”, „Celuloza”), która kreuje główną rolę w realizowanym obecnie filmie Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów”.

„Bawole serce” w kinie „Polesie”

Kino „Polesie” przy ulicy Fornalskiej nie zawiodło nadziei okolicznych mieszkańców. Stało się bowiem placówka kulturalno — oświatowa z prawdziwego zdarzenia.

Obok dyskusji i spotkań kierownictwo kina przy współudziale Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i dyrekcji Szpitala Ogólnego zorganizo-

owało ostatnio wystawę przeciwalkoholową.

W walce z pijanstwem postanowiono działać skutecznie, na ponoc „metoda zastraszenia”. Naprawdę bowiem można się przerazić, kiedy obejrzy się zakonserwowane w formalinie tzw. „bawole serce” czy owrzodzony żołądek pijaka. Trochę to w sumie makabryczne, ale, niestety, potrzebne.

Studenci dla dzieci

W pierwszych dniach lipca grupa studentów Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatru i Filmu rozpoczyna wędrowny rajd po województwach kochalskim i jeleniogórskim. Nie należy jednak sądzić, że to tylko zwykła, studencka eskapada.

Otóż młodzi aktorzy przebywającym na obozach i koloniach dzieciom łódzkim z bardzo wdzięcznym przyzwioz „Humor w plecaku”

Taki bowiem tytuł nosi wesoły program rozrywkowy, który z pewnością jeszcze bardziej uprzyjemni dzieciom pobyt na wakacjach.

Warto wspomnieć, że nie pierwszy raz łódzcy adepci sztuki aktorskiej podejmują tak pożyteczną akcję. W latach ubiegłych podobne programy spotykały się zawsze z bardzo wdzięcznym przyjęciem dziecięcej widowni.

Pomysł

Na łście genialny pomysł wpadła ostatnio jedna z łódzkich gazet. Zaproponowała bowiem, aby borykające się z trudnościami lokalowymi Muzeum Przyrody przenieść przynajmniej

czasowo do... Ośrodka Propagandy Sztuki.

Po przeczytaniu owej notatki „najpiękniej ogarnął nas śmiech pusty, a potem litość i trwoga”.

Millenium w miniaturowości

W aleksandrowskim liściec ogólnokształcącym obejrzelismy sobie niezwykle ciekawą wystawę historyczną.

Największym powodzeniem cieszy się tu dział numizmatyczny, zawierający banknoty z lat 1916 — 1949. Wystawa cieszy się dużym wzięciem wśród mieszkań-

ców Aleksandrowa. Sprawiają to nie tylko barwne planse i reprodukcje, ale chyba w głównej mierze makietki zamków, grodów, wzorów budownictwa wczesnosłowiańskiego itp.

Szkoda, że żadna z łódzkich szkół nie wpadła na pomysł takiej wystawy. Przecież to kolosalna pomoc w nauce historii.

Wyjechali

Exodus filmowców z Łodzi trwa nadal. Ostatnio przeniósł się do Warszawy znany i ceniony reżyser młodego pokolenia Janusz Nasfeter — twórca interesującego filmu „Małe dramaty”.

Jak wiadomo, kilka miesięcy temu wyjechał również do Warszawy inny znany reżyser filmowy — Jerzy Passendorfer („Zamach”, „Sygnały”).



Co nowego w łódzkiej tele-technice?

Co nowego w Łódzkiej Telewizji?

Z tym pytaniem zwracamy się do zastępy głównego inżyniera inż. Bronisława Stolarskiego.

— Jest parę rzeczy ciekawych. Najpierw trzeba przypomnieć, że mapa widzialności naszej stacji wynosi w tej chwili 75 km od nadajnika. Zasięg ten zwiększy się bardzo znacznie z chwilą uruchomienia nowego ośrodka radiotelewizyjnego.

— O tym ośrodku pisano już wiele. Powiedzmy więc tylko to, co dotyczy będzie telewizji.

— Stanie tam nowa antena, która połączona będzie z dziesięciokrotnie silniejszym nadajnikiem (o mocy 5 KW). Ponadto w ostatnim czasie buduje się już jedną z największych w Europie stacji przekątnych telewizji, która będzie odbierała sygnały z kierunków Warszawy, studia łódzkiego, Katowice, Poznań i własnego nadajnika miejscowego.

— Ostatnio odebraliśmy bezpośrednio audycję Telewizji Poznańskiej. Trzeba powiedzieć, że chwilowa radość została zgąszona przez nienajlepszą jakość przelotu.

— Dzieje się tak dlatego, że łącząc telewizyjnie z Poznaniem nie jest dostatecznie wykończona i posiada na trasie odcinki zbudowane prowizorycznie. Są dwa takie odcinki: Poznań — Ścieżka i Wrocław — Katowice. Z chwilą uruchomienia tam normalnych łączy jakość obrazu będzie dobra.

— Nie zapytaliśmy kiedy uruchomiony będzie nowy ośrodek?

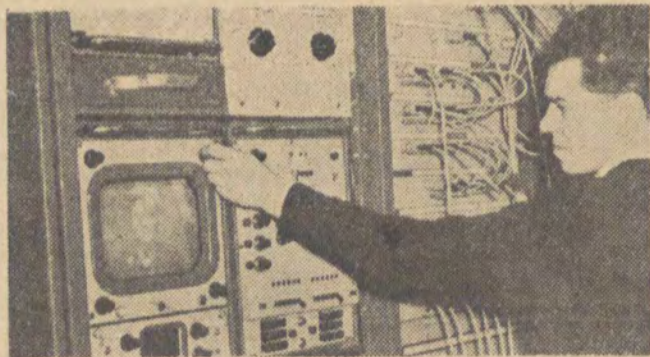
— Przypuszczam, że w przyszłym roku, ponieważ są tam jakieś trudności natury budowlanej.

— A więc zanim to nastąpi, spytajmy o nowości techniczne w Telewizji Polskiej.

— Przed wszystkim na uwagę zasługuje sprawną pracę aparatury do utrwalania obrazu tzw. telerecordingu. Urządzenie to posiada Warszawa i nadaje ona już szereg dobrych audycji odtwarzanych z taśmy. Jest to także filmowa 16-milimetrowa. Obraz zapisuje się przy pomocy zespołu urządzeń: obrotownik — kamera telewizyjna połączona z kamerą filmową. Dźwięk jest zapisywany jednocześnie na tej samej taśmie. Nasza premiera „Złotej karocy” utrwalona została w Warszawie na taśmie telerecordingu.

— Czy mamy jakieś polskie urządzenia (w prototypach) służące do utrwalania obrazu?

— Na Politechnice Warszawskiej prof. Urbanowski czyni próby urządzenia zapisującego obraz na taśmie magnetycznej o szerokości 6,35 mm. Rezultaty są dość dobre.



Inż. Bronisław Stolarski przy aparaturze telewizyjnej

ale jeszcze nie takie, by aparatura mogła wejść do eksploatacji. Trzeba powiedzieć, że wiele rozwiązań technicznych jest tu prawdziwą rewelacją. Wystarczy zwrócić uwagę na szerokość taśmy, która w aparaturach amerykańskich RCA wynosi 50 mm. Mamy też na swoim podwórku pewne osiągnięcia. Opracowaliśmy np. nową metodę naprawy bloków wysokiego napięcia używanych w monitorach kontrolnych. Blok taki „nawalał” średnio co miesiąc, a nowy kosztuje 118 dolarów.

— Jaki jest ogólny kierunek rozwoju polskiej techniki telewizyjnej?

— Rozbudowa jak najgę-

szej sieci nadajników tak, by program telewizyjny odbierał mógł cały kraj. W tym celu umieszcza się małe przemienniki, które mają za zadanie objąć określony teren. Poza tym Kraków otrzyma dla Teatru Słowackiego ruchome studio transmisyjne w postaci radzieckiego wozu transmisyjnego, który był demonstracyjny na wystawie w Brukseli. Nadto włączamy się coraz częściej do sieci Interwizji. Jest to sieć wymiany programów między państwami demokracji ludowych.

*) Na trasie tej pracują polskie łączy typu „Korab”.

W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Ta miła pani na zdjęciu nie ma nic wspólnego z zapowiadaniem przez nas na niedzielnym filmem z serii „Disneyland”, „Potwory głębin”. Łączyć ich może jedno: i ta pani i te filmy są piękne. Ale do rzeczy.

W czwartek 23 czerwca polecamy obejrzeć o 19.10 Łódzka Kronika Filmowa i zaraz po niej z Warszawy Polska Kronika Filmowa. O 19.35 nadany będzie 25 minutowy koncert solistów Opery Warszawskiej. „Saga lasów Janowskich” to tytuł programu dokumentalnego, który nadany zostanie z Łodzi o godz. 20.30. O godz. 21.05 — Młodzieżowy Program Rozrywkowy.

Piątek, 24 czerwca, przynosi o godzinie 18.15 reportaż pt. „Promienie życia”, o 19.05 prezentuje się nam Młodzieżowe Studio Poetyckie i o 20.30 Łódź w programie lokalnym wyświetli film prod. radzieckiej pt. „Weseli współlokatorzy”.

Sobota 25 czerwca. Godz. 14.45 reportaż z Gdańska pt. „Płyn po morzach i oceanach”, mowa będzie (prawdopodobnie) o wodowaniu statków. O 19.30 transmisja z teatru „Buffo” w Warszawie programu pt. „Zebymy tylko zdrowi byli”. O 21.30 film fabularny prod. francuskiej (dozwolony od lat 18) „Dziwny dramat”.

Niedziela 26 czerwca. Godz. 9.45 z Gdańska transmisja uroczystych obchodów Dni Morza. O godz. 14 „Niedzielną Biesiadą”. Zaraz po tym widowisko regionalne z Łodzi pt. „W Noc

Świętojańska”. Godz. 16.35 przeniesienie spektaklu z teatru „Arlekin” w Łodzi „Kuglarz w koronie”. Godz. 17.35 teleturniej „Podróż po Bałtyku”. Godz. 19.00 Polska Kronika Filmowa i o 19.10 kolejny film z serii „Disneyland” (polecamy szczególnie znakomite) „Czerwony sygnał” film fabularny produkcji włoskiej dozwolony od lat 14 wyświetli Łódź w programie lokalnym o godz. 20.45.



ROZBITY DZBAN



Kilka dni temu otrzymałem wiadomość: „Prosimy o natychmiastowy przyjazd do Sieradza. Muszyńskiemu grozi dwa lata więzienia”.

Pojechałem natychmiast. Muszyński jest ludowym artystą-garniarzem. Piszą o nim gazety, jego prace były wielokrotnie nagradzane na konkursach sztuki ludowej. Pojechałem razem z Wacławem Kondkiem, który interesuje się rzeźbą w glinie, a szczególnie techniką wypalania w piecu. Konddek nosi się z myślą odciać praktyki u Muszyńskiego.

Sieradz w niedzielne popołudnie jest gwarny — jak miasto wojewódzkie. Sklepy i szkoły zamknięte. Kto żywy wychodzi na rynek. Rynek jest tradycyjnym miejscem niedzielnych spotkań — takie powiatowe corso. Przed starym, zabytkowym kościołem gromadzą się starzy i młodzi. Można tu uzyskać wszelkie informacje.

— Panie, sława mu zaszkodziła. W gazetach i radio stale o nim głośno było. No i wreszcie doczekał się swego. A dawno mu to przepowiadałem, nie chciał siedzieć spokojnie i robić doniczek jak inni, ale dzbanuszków ozdoby mu się chciało. A jak pan wie — dzban tak długo wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. I doczekał się także Muszyński. Dobrali się do niego ci od finansów.

Nasz informator nie był trudny do rozszyfrowania. Mówił niby z troską, ale z każdego słowa przebijała zażyłość. To nie był przyjaciel. Ale zawsze coś już jest. Jakaś wiadomość. Poszliśmy do Muszyńskiego. Nieestety nie zastaliśmy go w domu. Pytamy żonę o całą sprawę.

Jak doszło do tych kłopotów? Można się domyślić: na początku był donos. Wydział Finansowy RN w Sieradzu uwierzył w prawdziwość donosu. Za rzekome zatrudnianie pracowników w swoim warsztacie wymierzył Muszyńskiemu 150 tysięcy złotych podatku i 100 tysięcy złotych grzywny. W razie niemożności spłaty tej kwoty sprawca zostanie osadzony w więzieniu na dwa lata.

Kogo winić w pierwszym rzędzie? Czy anonimowego oskarżyciela? Żona powiada: — Wszystkiemu winne gazety i radio. Gdyby został nieznanym jak dawniej — robiłby wprawdzie donice, ale miałbyśmy spokój. Sława mu zaszkodziła. I Sargan.

Czy rzeczywiście Muszyńskiemu zaszkodziła sława? A może tylko Sargan, osobnik, którego wymieniła Muszyńska?

Muszyński jest doskonałym garniarzem. Jego wyroby są cenione. Piszą o nim. Jest znany,

Sargan jest też garniarzem. Ale nie takim jak Muszyński. Muszyński jest konkurentem dla Sargana, który chce podporządkować sobie innych garniarzy sieradzkich. A przede wszystkim Muszyńskiego, na którym można zarobić. Muszyński ze zrozumiałych względów nie słucha Sargana. Odrzuca jego propozycje. Wobec tego sygnalizuje na niego donosy do Wydziału Finansowego Rady Narodowej w Sieradzu. Krag ludzi zaangażowanych do unieszkodliwienia Muszyńskiego powiększa się. W ciągu rocznego działania tego „dobranego kolektywu” uzyskano nawet niezłe rezultaty. Muszyński zaprzestał lepić dzbanki. Zajęty jest bowiem odpisywaniem na liczne monity nadsyłane przez Wydział Finansowy w Sieradzu.

Powie ktoś — czy Muszyński nie próbował wyjaśnić tej sprawy? Przecież twórcy ludowi zwolnieni są od płacenia podatków, a nawet mają przywilej zatrudniania od czasu do czasu ludzi do prac pomocniczych, nie ponosząc z tego tytułu podatkowych ciężarów.

Owszem, od roku nie innego nie robi tylko wyjaśnienia. Lecz niestety, nikt go nie słucha. Na nic nie zdają się przedłożone przez niego zaświadczenia z Wydziału Kultury, że jest twórcą ludowym. Na nic nie zdają się dowody i argumenty, że nie jest przestępcą. Do nikogo nie przemawiają nagrody, jakie otrzymał na konkursach sztuki ludowej.

Próbował wreszcie znaleźć oparcie i rozstrzygnięcie tej sprawy w Komitecie Partyjnym. Lecz niestety tutaj mało kto interesuje się Muszyńskim — garniarzem. Ci, którzy cośkolwiek o nim wiedzą, przeświadczeni są, że Muszyński posiada „fabryczkę” i nieźle zarabia, niech więc pracy. Nikt nie zadał sobie trudu, aby odwiedzić warsztat garniarza ulepionego z gliny, aby się o tym przekonać naocznie — chociaż tak niedaleko znajduje się on od Komitetu.

Nie ma więc miejsca na ziemi sieradzkiej dla garniarza Muszyńskiego. Jedyną propozycję jaką otrzymał, to zasiąść przy kole garniarzskim w warsztacie przedsięwzięcia Sargana. Wtedy będzie zwolniony od podatków.

Wyobraźcie sobie, że to wszystko dzieje się w mieście, które szczyci się 700-letnim istnieniem, w którym obecnie trwają przygotowania do Milenium. A więc będzie się mówić o kulturze regionu i z pewnością o sztuce garniarzkiej, może nawet o Hieronimie Muszyńskim — artyście ludowym.

Od wielu miesięcy miejsce cehowane w „Odgłosach” literami L. U. N. A. P. A. R. K., świecił przeraźliwą pustką.

Czuujemy się więc w obowiązku chwycić rączki pługa i przetrząść, zabronować i oblać rzeczony, zagon kakałem, bławatkami, dorodną pszenicą, skrzyżowaną systemem meczurynowskim być może z perzem, ale przecież pszenicą!

Chcemy bodaj w paru numerach dać czytelnikowi to, czego pozbawiło go życie ze wszystkimi jego takimi osobliwościami jak wyróżnianie zagadnień frontalnych przed marginesowymi, ozdabianie wydarzeń typu „Trzęsienie ziemi w Agadirze” — wykrzykami, miast wysuwania na czoło wstępniaków zwyczajem ekspresowym — notatek w rodzaju „Pośliznął się na skórecie od kielbasy i przewrócił damę ważącą osiemdziesiąt kilo”, chcemy bodaj w miesiącach letnich, miesiącach kanikuły, wezsałów, pestek z czereśni, miodowych godów, słomianych wdówek i wdowców, dać czytelnikowi namiastkę rozrywki.

Nie będziemy w „Lunaparku” strzelać z armat satyrycznych, nie będziemy buszować w dżunglach bezprawia, przekupstwa i innej korpucji — z satyrycznymi siekierami w ręku, bądź stawiać z kulomiotami przed drzwiami zamkniętymi przed nami redakcji, aby celnymi seriami ostrzeliwać nam redaktorów tylko dlatego, że w czasie swojej bytności w stolicy chodzą na lody i konisik bez nas, albo i dlatego, że trwamy w ich niepamięci. Napelnimy nasze słomki mydłami powstałymi ze zmieszania mydła kołowego, bał wydarzyć się może, iż mydła prosto od krowy, a nawet, na wet i szarego mydła, i będziemy puszczać przed oczyma czytelnika, nie wymagając



Nasze
oredzie
do narodu
czytającego
„Odgłosy”

jące tylu produkcyjnych zachodów, co statki kosmiczne... banki mydlane.

Zechciej nas zrozumieć, czy też nie. Jesteś skłonny do uproszczeń. Latwo ci posadzić autorów o bezmyślność, gdy zwyczajem Afanasiewa, zwyczajem tego wybornego humorysty wypasającego fortępiany na łańcuch niedorzeczności i topiącego ludzi w żupie szczawiowej (czytaj dwa najpotężniejsze nakładem wydawniczym pisma „Przekrój” i „Karuzela” utrzymujące swym istnieniem inne periodyki), latwo ci posadzić autorów o bezmyślność, gdy owi nie wbiłają szpilek w twój, przecież rozwijającego się ku lepszemu, życia, ale czy koniecznie musi się powiedzieć: be, gdy się sam ciągle płaczesz nad okropnościami wojen, gdy ta sujesz karty przy brydżu, oku, zechcegu? Albo: czy tylko rozprawiasz o trudnościach i osiągnięciach swych fabryk, gdy przebywasz na łańcuch przed domem na ksiu tach?

Prawisz trele-morele w ce

lach odprężenia i takie trele-morele są głównym celem naszej rubryki, powtarzamy jej tytuł, izbyś go nie zapomniał. LUNA PARK, nieraz najmniejsze, ale zawsze najwspanialsze pismo świata.

LISTY

Jedną z najmiłszych lektur, jakie naszczęca nam życie, stanowią listy. Bez listów jesteśmy jak ryba bez wody.

Ale bez korespondencji otrzymywanej od czytelników jesteśmy jak woda bez ryb.

Mnóstwo listów otrzymujemy. Oplaconych, nie oplaconych, dziesięciogramowych, kilogramowych, wypełnionych znakami naszego bractwa jak — kromeczkami nie wypieczonych chleba, dziurawymi skarpetkami, nie wypełnionych niczym innym — prócz przekleństw na konduktora nr 123, ważącego się powiedzieć nam: „nie bądź pan frajerem”!

Listy te są jedyną godziwą zapłatą za nasz trud. Trud wspinania się w tych niełatwych czasach po chwiejących się szczeblach kariery

na zawieszony u stropu naszej życiowej żonglerki bujak prowincjonalnego humorysty.

Czuje się zobowiązany odpowiedzieć na kilka listów, przede wszystkim na jeden, dotyczący wiecznego aktualnego problemu-kulinarnego.

SZANOWNY PANIE
REDAKTORZE!

Od dłuższego czasu kupuję w sklepach bulion, jest wszystkim: pietruszką potartą o szczyptę soli, szczyptą soli zanurzoną w roztworze lubczyku, pietruszki i wódzie spod grzybów, ale nie tym, co w naszym trzeźwym życiu przywykliśmy nazywać bulionem.

Jak otrzymuje się dobry, prawdziwy, pożywny bulion?

Zbliża się wielki dzień mojego życia, Dzień w którym będę czcił pojawienie się na drodze mojego życia ulubionej przeze mnie i najbliższe nasze męskie otoczenie obecnej mojej żony Andulki oraz pierwszej naszej pociechy... malutkiego Krzysztofka.

Zamiast lampką wina, chcę podjąć mych szacownych gości szklanką dobrego staropolskiego, zawiesistego bulionu.

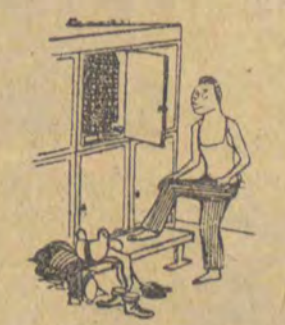
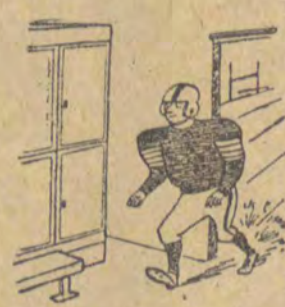
Jak otrzymujemy dobry bulion, co trzeba uczynić, aby, skoro uda nam się kupić nie wyrabianą do tej pory przez nasz przemysł ceramiczny, FILIZANKĘ do barszczyków i rosółów, co trzeba uczynić, zapytuję po raz wtóry, aby sobie ten bulion gospodarczym, domowym sposobem wytworzyć? Pozostaje ze szczerymi życzeniami wasz pokorny sługa Alfred Bombala, Łódź, Milionowa 175.

JAK PRZYZRZĄDZIĆ DOBRY BULION?

(Dalszy ciąg w następnym numerze).

Najostrzejsze ołówki świata

ANATOL KOVARSKY



Nasza skromna rubryczka „najostrzejszych ołówków” postanowiła wtargnąć trzy grosze do dyskusji o sprawie sportu — toczonej od pewnego czasu na 1 stronie „Odgłosów”. Głos ma — humorysta amerykański pochodzenia polskiego, Anatol Kovarsky.

Przez szereg lat Kovarsky interesował się właściwie tylko dwoma tematami, które określić można krótko: plastyka i Bliski Wschód (jego żarty o fakiarach i latających dywanach omawialiśmy zresztą na tym miejscu). Ostatnio jednak popularny humorysta zaczął się żywo interesować bardziej przyziemnym tematem — właśnie sportem. Wiąże się to na pewno z faktem, że redakcja popularnego magazynu „Sport Illustrated” postanowiła podnieść w swoim piśmie poziom humoru rysowanego i zaprosiła do współpracy cały niemal zespół najwybitniejszych karykaturzystów „New Yorkera”. Wśród nich był oczywiście Anatol.

Nasz humorysta nie jest szydercą. Nie zamierza podważać sensu uprawiania sportu, sprowadzając do absurdu każdy nieukonieczny wysiłek fizyczny — jak to czynią niektórzy rysownicy ze „Sport Illustrated”. Jeśli jednak jest w tych żartach ziarno sceptycyzmu, to tkwi ono w bardzo delikatnym, subtelny ośmieszeniu sportowego gwiazdorstwa.

Kovarsky pragnie w każdym sportowcu zobaczyć człowieka — ze wszystkimi wadami, kompleksami, naiwnościami: bokser woli trenować z małym ciemniem, gracz w base-balu udaje atletę. Nie ośmiesza więc istoty sportu, najwyżej jego pozory, którymi sportowcy lubią się otaczać.

Może tu właśnie jest klucz do niejednej z „zagadek sportu”?

(JERT)

Redaguje Zespół • Wydawca: W. Jaworski, Prasa „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 30. Tel. 244-78 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 4— zł kawral. nie 12— zł • Redakcja nie zamawia reklam bez podania nazwy, listonosze oraz POUK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 1905. V. 1960 r. R 4



EWA KRĘCI W BELGRADZIE

(KORESPONDENCJA WŁASNA „MIESZANKI“)

Chodzi, naturalnie, o Ewę Krzyżewską, która od kilku miesięcy kręci w Belgradzie swój pierwszy zagraniczny film pt. „Wojna” (scen. Zavattini) w reżyserii Veljko Bulajčica, znanego u nas z filmu pt. „Bez rozkładu jazdy”. Przypomnę, że do roli Ewy konkurowały Tatjana Samojlova i Dany Carrel, ostatecznie Polka zdobyła engagement i w tej chwili przeżywa dni swojego triumfu, a także popularności.

Trzeba powiedzieć, iż Jugosłowianie bardzo żywo zajęli się propagandą naszej aktorki — szereg czołowych pism ilustrowanych zamieściło jej zdjęcia, miała kilka wywiadów, spotykała się ze studentami itd. Jej sława wzrosła widocznie po wyświetlaniu w Belgradzie „Popiołu i diamentu”, który przyjęto ciepło i prawdopodobnie ten film przełamie złą passę, jaką miała dotychczas nasza produkcja X muzy.

Ostatnio prasa doniosła o nowych propozycjach obsadzenia Ewy w dwóch filmach jugosłowiańskich: „Pierwszy obywatel miasteczka” i w filmie pt. „Czternasty dzień”. Zainteresowali się nią także Włosi — miała grać w filmie „Śmieję się” reż. Monicellia razem z Anną Magnani, ale z powodu przedłużenia okresu

zdeję do „Wojny” musiała zrezygnować z ponętnej propozycji.

Wydaje się, że Ewa trafiła w dobre ręce. Veljko Bulajčić zrobił dotychczas jeden film („Bez rozkładu jazdy”) nagrodzony w Puli i od razu zyskał tu powszechne uznanie. Jest on absolwentem włoskiej „Cinecitty”, studiował pod kierunkiem Zampy i ma solidne przygotowanie fachowe.

Partnerem Krzyżewskiej w „Wojnie” jest Anton Vrodojak, bardzo popularny aktor, który w ciągu ostatnich dwóch lat występował w 17 filmach. Miałam okazję uczestniczyć w próbach i mogę powiedzieć, że stanowią doskonale dobraną parę.

Zavattini w swym scenariuszu pragnął ukazać okropności wojny atomowej i reakcję „ludzi dobrej woli”. Wojna zaskakuje młodą parę, Martę i Tonie w momencie przygotowań do ślubu. Oboje przechodzą całą gehennę, tracą wszystko, żęby zrozumieć, iż przeciw temu trzeba było walczyć wcześniej.

Tymczasem poczekajmy, aż prace nad filmem zostaną skończone. Być może, że zobaczymy go także w Polsce.

KRYSTYNA KASZYŃSKA

„PUŁAPKA”

Okazuje się, że klasycznego schematu powieści kryminalnej nie można dołownie przenieść na ekran. Udowodnił to wielokrotnie arcy mistrz z filmowego kryminału Alfred Hitchcock, udowadnia któryś tam raz z rzędu reżyser Jean Dellanoy filmem „Pułapka”.

W czym leży trudność? W typowej powieści kryminalnej mamy zagadkę, rozwiązana na 10—12 stronicy od końca. A potem?... potem jest właśnie owe 10—12 stron opowieści genialnego detektywa, w jaki sposób „łożył” sobie poszczególne kawałki łamigłówki, jak doszedł do rozwiązania problemu. Jest to jednocześnie sprawdzian dla czytelnika, czy powieść została prawidłowo zbudowana.

Ekran nie wytrzyma tej lawiny słów, zwłaszcza w finale, gdy po rozwiązaniu ws. „kich wątków i złapaniu przestępcy pod widzami skrzypią krzesła...

Stąd też, rasowy film kryminalny nie jest w stanie tak mocno akcentować elementu zagadki. Trzeba więc położyć nacisk na coś innego. Albo na akcję, żywy spłot wydarzeń, zaskakujące pomysły fabularne; albo też — na pogłębienie historii, wyraźne rysowanie tła społecznego, środowiska, psychologii postaci.

Tę właśnie drugą metodę obrał Jean Dellanoy biorąc na warsztat jedną z licznych powieści Georges Simenona (znanego w Polsce ze sł. ej r. b. książki „Maigret i człowiek z ławki”). Mniej więcej już w połowie „Pułapki” orientujemy się całkiem dokładnie, kto zabił — pozostaje zaś przede wszystkim pytanie: „czemu?” I tu trzeba stwierdzić, że znaleźć owe „dlaczego” w gąszczu przeróżnych postaw moralnych i kompleksów — staje się dla widza zadaniem pasjonującym.

Dellanoy, twórca takich filmów jak „Symfonia pastoralna” i „Kości rzucone” — wykazał swym dorobkiem, że jest twórcą ogromnie wrażliwym na niuanse psychologiczne. Tak jest i w „Pułapce”, gdzie Dellanoy raz po raz zrywa ze swych bohaterów maski por. ru, ujawnia prawdziwe uczucia i namiętności. Czyni to zresztą subtelnie i taktownie, co jest niebywałą sztuką — gdy się ma do czynienia z drastycznym problemem seksualnym.

Oczywiście — reżyserowi waleń pomogli znakomici wykonawcy, których, zależałoby chyba wymienić wszystkich, aż po drobne epizody: Jean Gabin — jako komisarz Maigret, Anne Girardot (Ivonne), Jean Desailly (Marcel).

Poprzedzamy jednak na tej trójce aktorów, którym na prawdę należy się nota celująca.

J. W.

„TAM, GDZIE ROSNĄ POZIOMKI”

Nieprzypadkowo w tym filmie widnieją w czołówce dwa nazwiska — Victor Sjöström i Ingmar Bergman.

Pierwszy — niezjący już wielki reżyser i aktor szwedzki — jest twórcą wielu filmów niemych, które stanowią niemal epokę w rozwoju kinematografii światowej. Oto kilka bardziej znanych dzieł Victora Sjöströma: „Ingeborg Holm” (1913), „Banić” (1917), „Próba ognia” (1921), „Wieża kłamstw” (1925) czy kolorowy i dźwiękowy „Kardynał Richelieu” (1947). Dzieła te cechuje dążność do ukazania na ekranie ludzkich przeżyć; ukazania nie tylko zewnętrznej linii wydarzeń, ale ich psychologicznego uzasadnienia.

Drugi, jest 41-letnim nieco dziwnym i ciekawym człowiekiem, jednym z najbardziej cenionych reżyserów filmowych na świecie. Filmy Ingmara Bergmana są w Polsce dość dobrze znane, widzieliśmy już: „Letni sen”, „Wakacje z Moniką”, „Wieczór kuglarzy”, „Uśmiech nocy”, „Siódmą pieczęć”. Obecnie wchodzi na ekrany następny bergmanowski film — „Tam, gdzie rosną poziomki”.

Autor nie oglądanej jeszcze u nas „Twarzy” w swej twórczości podobny jest do wspomnianego Victora Sjöströma ową umiejętnością analizowania ludzkich przeżyć, ludzkiej psychiki. W „Poziomkach” Bergman — reżyser i Sjöström — aktor dali wyraz swej artystycznej wspólnoty. Stworzyli studium starego człowieka, opowieść o życiu. Jest to chyba jedno z najbardziej optymistycznych dzieł Bergma-

na, film — moralitet, wyznanie wiary w życie.

Bohaterem jest stary profesor medycyny jadący wraz z synową na uroczystość nadania mu tytułu doktora honoris causa. Po drodze odwiedza miejsce swego dzieciństwa, przypominając sobie odległe przeżycia młodości. Zaczyna się rozrachunek starego człowieka z własną przeszłością. Życie profesora Borga ukazane w kilku retrospekcjach. Bergman poddaje konfrontacji ze współczesnością: z epizodem o skłóconym małżeństwie, z postaciami trójki studentów, synowej i syna.

Obok swego mistycyzmu, którymi dał wyraz w „Siódmej pieczęci” czy „Letnim śnie” Bergman jest również wyklującym obserwatorem, realistą, niczego nie upiększającym. Sens życia — to podstawowy problem filozoficzny w jego dziełach. Nie wystarczy żyć, trzeba umieć żyć — taki jest rdzeń filmu „Tam, gdzie rosną poziomki”.

Poszukiwanie sensu życia w bergmanowskich filmach kończy się często pustymi słowami. Inaczej jest w „Poziomkach” — prof. Borg

wyciąga wnioski z własnych doświadczeń, widzi swoje błędy, to też broni przed podobnymi błędami swego syna i jego żonę — i chyba mu się to udaje.

Ciekawy chwyt stylistyczny zastosował reżyser w sposobie prowadzenia retrospekcji. Oto relacje o wydarzeniach minionych rozgrywa w scenerii i kostiumach sprzed kilkunastu lat, nie uwzględnia jednak postaci narratora, lecz ukazuje go w sylwetce i kostiumie współczesnym. Poprawia to czytelność filmu i jego zawartość dramatyczną.

Bergman pracuje prawie nad każdym swoim filmem z tym samym zespołem aktorskim. Również w „Poziomkach” oprócz Victora Sjöströma oglądamy znanych z „Siódmej pieczęci”, Bibi Anderson — zaś w jednym z epizodów widzimy aktora o charakterystycznej wysokiej sylwetce i jasnych włosach — Maxa von Sydowa. Dobre aktorstwo wszystkich wykonawców stało się jedną z przyczyn sukcesów artystycznych filmów Bergmana.

A. NIEŚMIALEK



KOLEJNYM DEBIUTANTEM w filmie fabularnym jest reż. Paweł Komorowski, który na Dolnym Śląsku kręci właśnie „Szkła góry”. Film ten, realizowany w zespole „Kadr” — opowiada o perypetiach młodego wynalazcy z małego miasteczka. Autorem scenariusza „Szkła góry” jest utalentowany pisarz wrocławski młodego pokolenia — Maciej Patkowski.

DLA MIŁOSNIKÓW SENSACJI mamy miłą wiadomość: zakupiony został do Polski film amerykański „Polowanie na lokomotywę”. Nie jest to typowy „western”, indziej w tym filmie nie występują — lecz mimo to zawiera wiele elementów awanturniczych, charakterystycznych dla opowieści z „Dzielnego Zachodu”. „Polowanie na lokomotywę” relacjonuje autentyczne wydarzenia historyczne z okresu wojny secesyjnej w USA — chodzi tu o odzyskanie pociągu uprowadzonego przez grupę sabotażową ze stanów północnych. Film nakręcono w reżyserii Walta Disneya, który od szeregu lat finansuje normalną produkcję fabularną.

NIEZAPOMNIANY PISZCZYK — Bogumił Kobieła — znów wystąpi przed kamerą! Tym razem — jako odtwórca roli tytułowej w filmie „Szczęściarz Antoni”, reżyserii Włodzimierza Haupe i Haliny Bieleńskiej. Haupe i Bieleńska debiutują w produkcji fabularnej, dotychczas realizowali kilka (n. b. znakomitych) filmów animowanych.

FEDERICO FELLINI ma podobno zamiar zrealizować dalszą część filmu „Słodkie życie”, za który w roku niezawodnie dostał w Cannes „Złotą Palmę”.

DONALD

„KOLOROWE POŃCZOCHY”

Po niedocenionych przez krytykę „Małych dramatach” — utalentowany reżyser młodego pokolenia, absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej, Janusz Nasfeter — zrealizował już drugi film o dzieciach, pt. „Kolorowe pończochy”. Tym razem — jest to opowieść z życia dziewcząt.

Obok i poniżej — młode wykonawczynie głównych ról z filmu Nasfetera.

(zdjęcia: M. ADAMEK)

